

**REBECCA KING**

# **Zakazany owoc**

scandalous



***Harlequin***

Toronto • Nowy Jork • Londyn  
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg  
Madryt • Mediolan • Paryż • Sydney  
Sztokholm • Tokio • Warszawa

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Możesz sobie mówić, co chcesz, Elaine, a ja i tak jestem absolutnie pewna, że ktoś nas śledzi. - Znowu poczuła, jak dreszcz przebiega jej po plecach.

- Jade, na litość boską. Tłumaczę ci już od godziny, że coś ci się przywidziało.

Przyjaciółka z uporem potrząsnęła głową.

- Nie. Pewnie myślisz, że zwariowałam, ale wiem z całą pewnością, iż on jest gdzieś tu, na tym placyku, i obserwuje nas, a raczej mnie - dodała z przekonaniem.

- On? - spytała Elaine unosząc brwi.

- Tak, to niewątpliwie mężczyzna.

- No to jesteśmy w domu. Nie bądź niemądra, Jade. Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że większość mężczyzn w tej kawiarni zerka na ciebie. Powinnaś już do tego przywyknąć, - Spojrzała z nie ukrywanym rozbawieniem. - Nie pozostaje ci po prostu nic innego. Jeżeli nie życzysz sobie, żeby mężczyźni zwracali na ciebie uwagę, musisz włożyć na głowę worek - tylko pamiętaj o dziurkach na oczy.

- Nie denerwuj mnie.

- To naprawdę jedyna metoda, żeby ich powstrzymać. Kasztanowate włosy i zielone oczy to najlepsza kombinacja, a jeśli dodać do tego jeszcze kremową cerę...

- Przestań, Elaine. Czytasz za dużo kobiecych

pism - przerwała Jade, zarazem rozbawiona i zakłopotana.

- ...i idealny owal twarzy - Elaine westchnęła teatralnie. - Cóż, masz szczęście, że nie ma we mnie odrobiny zazdrości, bo inaczej wydrapałabym ci te piękne oczy. Ale wiesz, nie spotkałam jeszcze kogoś, kto by tak mało dbał o swój wygląd - dodała poważniejąc.

- A muszę? - Jade wzruszyła ramionami.

- Ale naprawdę wyglądasz szalenie.

- To czysty przypadek.

- Powiedzmy, ale mężczyźni naprawdę porusza to twoje trzymanie ich na dystans. Sama widziałam, jak wychodzili ze skóry, żeby zrozumieć, co się za tym kryje. Założę się, że i teraz to robią. Ten tam w kącie - wskazała nieznacznie ruchem głowy - cały czas wprost rozbiera cię oczami.

- Nie, to nie on, ten jest niegroźny - odpowiedziała Jade spokojnie, ale czuła narastający niepokój.

- Twoje zdrowie, Elaine - powiedziała, podnosząc kieliszek białego wina.

- Dzięki. Już tylko tydzień do wyjazdu - odrzekła jej przyjaciółka z zapałem. - Mówię poważnie, Jade, masz szczęście, że jesteś niezależna. Ta zabawa w nianie postarzyła mnie o parę lat. Tylko nadzieja na końcową premię powstrzymała mnie od zrobienia czegoś paskudnego tej straszliwej czwórce.

Jade przybrała współczujący wyraz twarzy. Już od pięciu tygodni przebywała w małej wiosce u stóp Pirenejów, położonej formalnie we Francji, ale w rzeczywistości należącej do jednej z prowincji kraju Basków. Obie z Elaine zbliżyły się do siebie jako jedyne Angielki w okolicy. Podczas ich rzadkich

spotkań, gdyż przyjaciółka nieczęsto miewała wolny wieczór, Elaine zawsze raczyła ją opowieściami o wybrykach tej rozpuszczonej przez rodziców gromadki.

- Ale mimo wszystko będzie ci chyba żal stąd wyjeżdżać, bo mnie na pewno tak - stwierdziła Jade.

Objęła spojrzeniem wiejski placyk. Promienie zachodzącego słońca przedostające się przez korony platanów oświetlały metalowe stoliki i krzesła przed kafejkami. Jak zwykle o tej porze było tłoczno. Zewsząd dobiegał gwar baskijskiej mowy.

Wiedziała, że miejscowi mówili dobrze po francusku, ale ich przysłowiowa duma i przywiązanie do tradycji sprawiały, że między sobą woleli porozumiewać się własnym językiem.

Z położonego obok kościoła boiska do peloty dolatywały odgłosy uderzeń wiklinowej rakiety o piłkę. To ojciec Ksawier, podkasawszy sutannę, trenował z chłopcami ze wsi. W oddali, za przysadzistą kościelną wieżą, wznosiły się postrzępione szczyty Pirenejów, nieomal czarne na tle nieba.

Hm, dopiero teraz, kiedy je sama zobaczyła, zrozumiała, dlaczego Roddy mógł bez przerwy opowiadać o swoich ukochanych górach. Uśmiechnęła się lekko na jego wspomnienie. Zobaczy go pewnie znowu za jakiś tydzień. Kurs angielskiego jeszcze się nie skończył, a dla niej będzie to rekompensata za powrót do Londynu. Pełen życia, radości i tak jej oddany Roddy...

- Jak się nazywa ten twój kuzyn?

- Co? Ach, Dave - odpowiedziała Jade automatycznie. Wyrwana z zamyślenia ogarnęła wzrokiem placyk raz jeszcze, tym razem starając się dostrzec

w tym znanym, przyjaznym otoczeniu ukrytego obserwatora. Była przekonana, że nieznajomy kryje się gdzieś w tłumie i nie jest jej przychylny. Ogarnął ją nagły lęk. Ściągnęła usta, aby nie krzyknąć ze strachu, i szybko zerknęła na Elaine. Choć wydawało się to niemożliwe, rozsądna, rzeczowa, szczęśliwa Elaine nie reagowała w ogóle na te sygnały.

- Spóźnia się, prawda?

- O Boże, tak. Żeby tylko nie zabłądził.

- Wybierzesz się z nim? Chciałabyś pójść na wycieczkę w Pireneje?

- Chyba tak. Już prawie skończyłam robotę. Dziś po południu nadeszły z Bayonne ostatnie zasłony i trzeba je tylko zawiesić. Muszę zrobić przerwę. Nie miałam wakacji od dwóch lat.

- No właśnie. - Elaine potrząsnęła karcąco głową.

- Wiem, że jesteś zwariowana na punkcie pracy, chcesz jak najszybciej osiągnąć sukces w swoim zawodzie, ale nie możesz się tak zaharowywać, bo się rozchorujesz.

- Mówisz jak prawdziwa niańka - odrzekła Jade z uszczypliwym uśmiechem - ale praca dobrze mi robi.

- No cóż, w takim razie wypijmy za Jade Lorrimer, genialną dekoratorkę wnętrz, i za jej firmę, która wkrótce stanie się sławna na całym świecie.

- O tak, za to mogę wypić.

Jade próbowała śmiechem skwitować nagły przypływ tak dobrze sobie znanego zwątpienia. Gdyby sukces zależał tylko od stanowczości i ciężkiej pracy, dawno już by go osiągnęła. Tymczasem zaś wciąż dzielił ją od niego ogromny dystans. Przeróbka starej chałupy na skraju tej wsi w luksusową siedzibę była jej pierwszym zagranicznym zleceniem. Zdobyła je tylko

dzięki poleceniu ludzi, którym urządziła letni domek w Norfolk. Czeka ją na nią w Londynie książka zamówień zawierająca wyłącznie wstępne propozycje. Niektóre z nich jednak przy odrobinie szczęścia mogły stać się bardziej realne. Jej obecni klienci wydawali się dość zadowoleni z dotychczasowych wyników. Za parę dni mieli pojawić się tu, aby dokonać ostatecznej oceny, a jeśli mają przyjaciół, których przyjaciele, być może...

- Och! - wydała stłumiony okrzyk, kiedy czyjaś ręka, całkiem bez uprzedzenia, oparła się na jej ramieniu. Odwróciła się z lękiem, rozlewając wino na stół.

- Nie rób tego więcej, Dave.

- Przepraszam, Jay. - W uśmiechu kuzyna nie było śladu skruchy. Zrzucił wyładowany plecak z ramion i opadł na krzesło, które Elaine podsunęła mu usłudźnie. Przedstawiając ich sobie, Jade musiała pohamować rozbawienie, widząc, jak Dave odrobinę przedłużył uścisk dłoni, co wywołało na okrągłej, dobronudusznej twarzy dziewczyny nagły rumieniec. Czyżby to było to, pomyślała z ironią. Nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia, ale ci dwoje rzeczywiście wpatrywali się w siebie, jak gdyby do tej pory w ogóle nie widzieli ludzkiej istoty.

Jade poczuła naraz żal, lecz szybko zdołała się od niego uwolnić. Obiecała sobie, że nigdy nie doświadczy takiego szalonego, nieoczekiwanego uniesienia, które dane jej już było poznać. Bardzo wczesnie przekonała się, jak niebezpieczna potrafi być miłość. Dla niej była to utrata kontroli nad sobą i wypuszczenie się na żeglugę po nieznanym, pełnym raf wodach. Natomiast praca i starania o sukces firmy dawały jej niezależność i zarazem tak upragnione poczucie bezpieczeństwa.

- Napijesz się czegoś, Dave? - spytała, odchrząknawszy znacząco, aby wyrwać go z pełnej zachwyty kontemplacji piegowatego, zadartego nosa Elaine.

- Tylko nie wina. Gdybym tknął alkoholu, padłbym na miejscu, jestem na nogach od siódmej rano.

- A nie mogłeś złapać jakiejś okazji? - Elaine spojrzała na niego ze zdumieniem. Jade roześmiała się, szczęśliwa, że coś ją odrywa od ponurych rozmyślań.

- W żadnym wypadku. To byłoby oszustwo. Kiedy Dave wybiera się na pieszą wycieczkę, chodzi tylko piechotą.

Chłopak połknął sok pomarańczowy trzema łykami, po czym nie mógł powstrzymać ziewnięcia.

- Ruszaj się, stary. - Jade opiekuńczo poklepała go po ramieniu. - Do łóżka. Przygotowałam ci spanie u mnie.

Pomagając założyć mu plecak powstrzymała się od rzucenia ostatniego spojrzenia na plac. Teraz i tak wszystkie oczy były skierowane na nich. Bywalcy kafejki starali się odgadnąć, kim jest przybysz. Mieszkała tu już wystarczająco długo, aby zorientować się, że Baskowie, chociaż mili i gościnni przy bliższym poznaniu, odnoszą się bardzo nieufnie do każdego obcego.

Jeżeli nawet nie myliły jej przecucia co do ukrytego obserwatora, to obecność Dave'a powinna przynajmniej dzisiaj odpędzić wszelkie strachy. Odgarnęła wyzywająco włosy, wyprostowała się i ruszyła przez plac w stronę wąskiej, brukowanej uliczki, przy której mieściła się jej kwatery.

Elaine patrzyła w ślad za nimi. Hm, hm, ten Dave to nie byle jaki kasek. Najwyraźniej uroda jest u nich

rodzinna. Gdyby to leżało w moim charakterze, na pewno zazdrościłabym Jade. Jest taka piękna, zgrabna, smukła i ma tak nieprawdopodobnie długie nogi... Niech tam sobie mówi, co chce, ale kiedy wreszcie jakiś mężczyzna przełamie jej opór i zbliży się do niej, uczyni go naprawdę szczęśliwym...

Nie spuszczała z nich oczu, aż zniknęli za rogiem. Jade zwracała twarz ku kuzynowi i Elaine mogła słyszeć jej cichy, melodyjny śmiech.

Z głębokiego cienia platanu śledziła ich jeszcze jedna para oczu, ciemnoniebieskich, ponurych i zimnych jak arktyczne morze.

- Cześć, Dave!

Jade posłała mu całusa, a potem jeszcze pomachała na pożegnanie z balkonu. Zanim wróciła do pokoju, zatrzymała się jeszcze chwilę, aby popatrzeć na rude dachy i zielone pola, rozścielające się jak dywan pomiędzy wioską a prześwitującymi przez poranną mgiełkę górami.

Drogą w jej stronę szły dwie staruszki z głowami owiniętymi w czarne szale. Wracały z porannej mszy. Wyminał je jadący na rozklekotanym rowerze chłop, którego śniadaniowa bagietka balansowała niebezpiecznie na kierownicy. Wszystko było takie znajome, takie codzienne.;

Potrząsnęła głową ze smutnym uśmiechem. Elaine miała rację - wczoraj zrobiła z siebie idiotkę. Te przywidzenia o jakimś tajemniczym, groźnym nieznanym...

Elaine miała również słuszność pod innym względem. Rzeczywiście jej podejrzliwość wobec każdego mężczyzny stawała się już obsesją, chociaż nigdy by się



do tego głośno nie przyznała. Chyba naprawdę powinna zrobić sobie parę dni urlopu.

Nie miała jednak zamiaru przyłączyć się do Dave'a, który udawał się Pielgrzymią Ścieżką do Santiago de Compostela. Byłoby to bowiem zbyt wyczerpujące. Poza tym zniknął dziś rano na dziesięć minut i wrócił z zadowoloną miną, mogła więc się domyślić, kto pójdzie z nim tym szlakiem.

Nie, lepiej spędzi parę dni w St Jean de Luz. Poleży na plaży i nie będzie nic robić, poza przyglądaniem się kutrom rybackim w porcie...

Podśpiewując pod nosem wróciła do pokoju, a potem poszła wziąć prysznic. Wytarła się, myśląc o wakacjach, po czym narzuciła na siebie biały fartuch, który służył jej jako domowa sukienka. Jeden z rękawów zaplątał się, więc wciąż jeszcze z nim się szarpała, kiedy weszła do pokoju. Nagle stanęła jak wryta.

- Dave? - Zmrużyła oczy od jaskrawego blasku słońca. - Zapomniałeś czę... Och!

Mężczyzna, który spoglądał w dolinę, wsparty łokciem o parapet, obrócił się i wtedy z jej ust wyrwał się zduszony, pełen przestachu okrzyk. Ten człowiek był znacznie wyższy od kuzyna, a chociaż widziała tylko ciemną sylwetkę na tle rozświetlonego okna, wyczuwała w nim siłę, jakiej Dave nigdy nie posiadał.

Kiedy zorientowała się, że jest niemal naga, owinęła się ciasno skąpym odzieniem.

- Kim.. kim pan jest? - wyszeptwała. - Czego pan chce?

Mężczyzna nie odpowiedział, ale jego oczy rozpoczęły powolny i skrupulatny przegląd jej całej postaci. Odczuwając zakłopotanie, jeszcze bardziej zaciągnęła poły sukienki. Przez dłuższą chwilę wpat-

rywali się w sobie - on zupełnie rozluźniony, ona - jak zahipnotyzowana.

Nagle z zewnątrz dobiegło ją radosne pogwizdywanie piekarza Alfonsa i ten zwyczajny dźwięk przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Wystarczyłoby, żeby zaczęła wzywać pomocy, a zbiegłoby się tutaj pół wsi. Ta myśl dodała jej odwagi. Z nieco większą pewnością siebie zapytała:

- A właściwie kto panu pozwolił wejść?

- Pukałem, ale pani najwidoczniej była zajęta czymś innym. - Wzruszył ramionami i znów obrzucił ją spojrzeniem - a więc wszedłem.

- Jak pan śmiał? - Oburzenie wzięło górę nad strachem, oczy rozbłyły gniewnie. - Nie uważam za konieczne zamykać drzwi na klucz, ale nie wzięłam pod uwagę obcych.

- To pani chyba jest tutaj obca, panno Lorrimer - odrzekł szorstko.

- Skąd pan zna moje nazwisko?

- Zadałem sobie wiele trudu, aby dowiedzieć się o pani jak najwięcej.

Z jego głosu biła taka niechęć, że aż się wzdrygnęła. Co miało znaczyć to „zadałem sobie wiele trudu”? Wstrzymała na chwilę oddech, a potem spytała, choć z góry już znała odpowiedź:

- Wczoraj wieczorem na placu to był pan, tak? Szpiegował mnie pan!

- Jeżeli rozumie pani przez to obserwację, to tak.

A więc szósty zmysł nie zawiódł; na dokładkę, kiedy wróg ostatecznie odsłonił przyłbice, rzeczywistość okazała się bardziej przerażająca niż przecucia.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Odszedł kilka kroków od okna i po raz pierwszy

mogła go obejrzyć dokładnie. Był wysoki i dobrze zbudowany, o sylwetce sportowca, szerokie ramiona i wąskie biodra. Nosił drogie, jasnoszare sztruksowe spodnie i koszulkę z krótkimi rękawami.

Jej uwagę zwróciło jednak nie tyle jego ciało, co twarz o ostrych rysach, orlim nosie i ciemnoniebieskich, niemal granatowych oczach, okolonych smolistymi rzęsami. Jade zmarszczyła brwi. W tej twarzy odnajdywała coś niepokojąco znajomego.

Ależ tak, oczywiście, podobne fizjonomie widywała co dzień wokół siebie w wiosce. Ten człowiek był niewątpliwie Baskiem, z pewnością jednak o nieprzeciętnej osobowości.

Wystarczyło raz na niego spojrzeć, aby nie mieć wątpliwości, że przepełniała go duma. Czowała instynktownie, że ma przed sobą kogoś, kto nie lęka się nikogo ani niczego i gotów jest unicestwić bez skrupułów każdego, kto osmielełby się stanąć na jego drodze.

Jade przesunęła językiem po wyschniętych wargach i zmusiła się do przerwania milczenia.

- Pytam po raz ostatni, kim pan jest? Ostrzegam, że jeśli tknie mnie pan bodaj palcem, będę krzyczeć.

- Sądzę, że mogłaby pani tego pożałować, panno Lorrimer. - Chociaż nie podniósł głosu ani o pół tonu, obleciał ją strach. - Proszę usiąść.

- Na pewno nie usiądę.

- Siadać.

Jego głos pozostał nadal spokojny, ale Jade poczuła, że nogi się pod nią uginają, i opadła na najbliższe krzesło, wciąż ściskając poły sukienki w spoconych dłoniach. Kiedy usiadł naprzeciw niej, cofnęła się bezwiednie, aż szorstkie obicie krzesła boleśnie otarło jej skórę. To sprawiło, że zaczęła mówić głośniej.

- Czy byłby pan uprzejmy powiedzieć mi, po co pan tu przyszedł, i wyjść? Nie mam zwyczaju przyjmować obcych mężczyzn we własnym mieszkaniu.

- Pani mnie zdumiewa.

- A to co ma znaczyć? - wybuchnęła, słysząc w jego głosie jawną niewiarę i szyderstwo.

- Tej nocy pani... gościła pewnego mężczyznę w tym domu. Oczywiście to nie był obcy, prawda? Raczej bardzo dobry znajomy, przynajmniej rano.

Przez chwilę Jade nie pojmowała sensu tych słów, potem jednak gwałtownie się zarumieniła, po czym równie nagle zbladła.

- Tak, dla pańskiej wiadomości - odpowiedziała lodowatym tonem, chociaż z trudem powstrzymywała drżenie rąk - jakkolwiek nie powinno to pana obchodzić, mężczyzna, który tu nocował, jest moim kuzynem.

- Doprawdy? - spytał z lekkim skrzywieniem wąskich warg.

- Tak, doprawdy.

- No, jeśli pani tak mówi - wzruszył ramionami.

- Ale nawet jeśli to prawda, to nie wyklucza...

- Ani słowa więcej - wykrzyknęła. - Posłałam Dave'owi tutaj.

Wskazała wąską kanapkę, z której jednak usunięto już wszystkie koce i poduszki.

- Jak podejrzewam, sądziła pani, że po tej stronie granicy będzie bezpieczniej.

- Bezpieczniej? O co panu chodzi?

- O to, że wybrała pani Francję, a nie Hiszpanię, ale zaręczam, że na terytorium Basków takie podziały nie mają znaczenia.

- Jest pan hiszpańskim Baskiem?

- Jestem Baskiem - dumnie skinął głową.
  - Tak, ale ja dalej nie wiem, co to wszystko ma wspólnego z panem?
  - Może nie bezpośrednio ze mną, ale przyzna pani, że Rodrigo ma prawo wiedzieć, jak pani postępuje.
  - Rodrigo? - Potrząsnęła głową, nie mogąc zrozumieć, o kogo chodzi, i wtem doznała olśnienia.
  - Mówi pan o Roddym? Skąd...
  - Chyba powinienem być przedstawić się pani. Nazywam się Leon de Villada.
  - De Villada - powtórzyła z zastanowieniem.
  - A więc jest pan dla Roddy'ego... - zawahała się, starając się określić możliwy stopień pokrewieństwa. Ten mężczyzna był z pewnością starszy od Roddy'ego o ponad dziesięć lat.
  - Bratem.
  - Ale ja nie wiedziałam, że on ma brata.
- Ależ tak, to właśnie było to, co nie dawało jej spokoju od chwili, gdy po raz pierwszy mogła go dokładniej zobaczyć. Rzeczywiście, był niezwykle podobny do Roddy'ego, zamiast młodzieńczego uroku przepełniała go jednak arogancja, a miejsce impulsywnego ciepła zajęła lodowata wyniosłość. Roddy był atrakcyjny, ten mężczyzna zaś odpychający. Zarazem miał pewną cechę, która czyniła go niepomiernie bardziej niebezpiecznym. To była, wyczuwalna nawet w tej chwili, umiejętność sprawowania władzy i manipulowania innymi.
- Myślę, że nie wie pani o Rodrigu jeszcze wielu rzeczy - odpowiedział. - Dla niego zaś byłoby interesujące dowiedzieć się, że podczas gdy on siedzi sobie spokojnie w Londynie, jego przyszła żona...

- Przyszła żona?! - Jade z trudem wydusiła z siebie te słowa. - Pan oszalał.

- Niech pani nie udaje niewiniątka. - Jego ogłada nagle gdzieś zniknęła. - Spotkałem już zbyt wiele takich tanich...

Zakończył baskijskim słowem, którego Jade jeszcze nie słyszała. Wolała jednak nie domyślać się jego znaczenia, gdyż naraz zrozumiała, że za żadne skarby nie może pozwolić, aby gniew osłabił jej czujność w rozmowie z tym przerażającym de Villadą.

- Proszę pana - zaczęła jeszcze nieco drżącym głosem - nie wiem, jakimi historyjkami karmi pana Roddy, ale nie są one zgodne z prawdą.

Z przejściem poruszyła się na krześle, a wtedy poczuła, że poły sukienki znowu wymykają się jej z rąk.

- Nie mogę tak rozmawiać - wymamrotała. - Proszę zaczekać, aż się przebiorę.

Zerwała się i wyszła z pokoju, otulając się sukienką i daremnie starając się zapomnieć o uczuciu poniżenia, które powodował jego zimny, wzgardliwy wzrok.

Kiedy już znalazła się w sypialni, zatrzasnęła głośno drzwi i oparła się o nie, próbując uspokoić szybki, płytki oddech, który przyprawiał ją o zawrót głowy. Pomału uspokajała się. Sięgnęła roztrzęsionymi rękami po bieliznę, a potem wyjęła z szafy dzinsy i bawełnianą koszulkę.

Nie włożyła ich jednak, ogarnęła ją bowiem przemożna chęć pokazania się z jak najlepszej strony temu niesympatycznemu bratu Roddy'ego. Być może chodziło o to, że starannie ubrana czułaby się pewniej... Ale przecież zdawała sobie sprawę, że to tylko złudzenie, że de Villada, jeżeli zechce, będzie miał nad nią przewagę.

Wybrała jedwabną, jednoczęściową sukienkę, której delikatny, zielono-błękitny wzór świetnie podkreślał kasztanowaty kolor włosów, przeciągnęła ją przez głowę i starannie wygładziła na biodrach i udach. Na szyję włożyła pleciony złoty łańcuszek, stopy wsunęła w białe sandały na wysokich obcasach i już obróciła się do drzwi, ale coś ją powstrzymało.

Przyszła żona... Co, u diabła, ten Roddy naopowiadał bratu? Wiedziała, że jest postrzelony. Od chwili, kiedy wiosną spotkali się pierwszy raz na przyjęciu wydanym przez jej klientów, wiele czasu spędzali razem. Zdążyła szczerze polubić nadskakującego jej młodzieńca, ale poza uczuciem sympatii nic ich nie łączyło. Wszelkie jego oświadczenia o oddaniu na śmierć i życie traktowała z rezerwą, składając je na karb wybujałego temperamentu.

Jeżeli jednak Leon de Villada zjawił się tu w pośpiechu, i to tak rozwścieczony, było niemal pewne, że tym razem Roddy posunął się za daleko...

Jego brat czekał teraz na nią w sąsiednim pokoju. Jade nerwowo przesunęła dłonią po włosach, walcząc z chęcią ucieczki, po czym wysoko podniosła głowę i przekroczyła próg.

Gdy tylko pojawiła się w drzwiach, poczuła na sobie jego chłodne, taksujące spojrzenie, przeszła jednak przez pokój nie patrząc w jego stronę i usiadła.

- No dobrze, *senor de Villada*. - Mimo wszystko udało się jej przyjąć ów greczny, a zarazem bezosobowy ton, którym posługuje się doświadczona kobieta interesu i który nie raz już dobrze się jej przysłużył w rozmowach z kłopotliwymi klientami.

- Nie wiem, jakich bzdur nagadał panu Roddy, ale zapewniam pana, że nie jestem jego przyszłą

żoną... ani żadnego innego mężczyzny. Proszę zatem powiedzieć, z czym pan przyszedł, a potem żegnam.

Zacisnął mocniej wąskie wargi, ale poza tym w ogóle nie zareagował, tylko jego długie, mocne, śniade palce wciąż wystukiwały o blat stolika. Kiedy w końcu odezwał się, Jade odniosła wrażenie, że w pełnym słońcu pokoju temperatura spadła do zera.

- Mówiłem już pani, że nie wie pani o Rodrigu jeszcze wielu rzeczy.

Opuściła ją pewność siebie. On najwyraźniej nie wierzył w ani jedno jej słowo.

- No tak, oczywiście - zaczęła. - Spotkaliśmy się dopiero...

- Czy uprzedził panią na przykład, że do dwudziestego piątego roku życia poza kieszonkowym, które mu wypłacam, nie dysponuje ani peseta ze swojego majątku?

- Majątku?

- A cztery lata czekania to dość długo dla poszukiwaczki skarbów.

Jade wciąż nie bardzo mogła się zorientować, do czego on zmierza, ale zniewagę rozpoznała natychmiast.

- Poszukiwaczka skarbów? Ejże, co pan sobie myśli, do diabła...

- Bardzo parną proszę, panno Lorrimer, niech pani mi daruje to przedstawienie. - Podniósł rękę, żeby ją uciszyć, przybierając minę znudzonego cynika.

- Kiedy mój nieszczęśliwy brat, samotny i tęskniący za domem, przypadkiem znalazł się w pani pobliżu, pani dostrzegła okazję...

- No, nie. Roddy naprawdę był sam. Spotkaliśmy się na przyjęciu...

- Ach tak, przyjęcie. - Wykrzywił pogardliwie



usta. - Klasyczny teren łowiecki dla takich kobiet jak pani.

- Ale to nie tak - zaprotestowała słabo, Zazwyczaj bez trudności potrafiła stawić czoło mężczyznom, teraz jednak było zupełnie inaczej. Ale jej nieproszony gość różnił się od tych mężczyzn, których do tej pory znała. W każdym razie musiała próbować, choćby ze względu na Roddy'ego. Jeżeli ona była w tarapatkach, to można było sobie wyobrazić, w jakiej on znalazł się niełasce u swojej rodziny.

- On wyglądał jak... jak ryba wyjęta z wody...

- A pani jak dobry rybak złapała go na haczyk - dokończył zrećźnie. - Oczywiście, bez najmniejszej myśli, że kiedyś stanie się niezwykle bogaty.

- Mówiłam już panu, nie, nie mówiłam - powiedziała sztywno, wbijając paznokcie w dłonie aż do bólu. - W każdym razie to nieważne. Gdyby Roddy nie miał nawet pensa przy duszy i tak pozostanie... no, Roddym.

Na jego wspomnienie czuły uśmiech pojawił się na jej twarzy, ale znikł natychmiast pod lodowatym, pełnym wrogości spojrzeniem.

- A jednak pozwalała mu pani wydawać na siebie pieniądze.

Jego oczy z szyderczym wyrazem przesunęły się po drogiej, jedwabnej sukience i złotym łańcuszku, a wtedy Jade straciła resztki z trudem dotychczas utrzymywanego spokoju.

- Jak pan śmie? - Zerwała się na równe nogi, oczy ciskały błyskawice. - " Na tę sukienkę i wszystko, cokolwiek posiadam, zarobiłam własną, ciężką pracą. Jeżeli pan sądzi, że jakikolwiek mężczyzna mógłby mnie kupić, to się pan bardzo myli, *senor* de Yillada.

A teraz... - podniosła rękę i dramatycznym gestem wskazała drzwi - nie mam zamiaru znosić tego dłużej. Proszę się wynosić, i to już!

On jednak tylko się uśmiechnął nieprzyjemnie.

- Wyjdę, kiedy skończę, ani chwili wcześniej. Pozostała mi już tylko jedna rzecz do omówienia.

- Czyżby? Domyślam się, że to będą nowe obelgi.  
- Jade gniewnie wpatrywała się w niego, oddychając gwałtownie.

- Obawiam się, że w ostatecznym rozrachunku pani tylko traci swój czas. Nawet gdyby była pani gotowa poczekać cztery lata, on i tak się z panią nie ożeni.

- W takim razie nie musi pan chyba zawracać sobie mną głowy?

- Nigdy nie ożeni się z panią - powtórzył z naciskiem. - Baskowie nie biorą sobie małżonków spośród obcych. Baskowie poślubiają Baskijki.

Przez chwilę szukała właściwych słów i właśnie wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Dzięki Bogu, pomyślała, to pewnie Elaine zaprasza na kawę, w samą porę, by przerwać tę nieprzyjemną scenę.

- Przepraszam - burknęła i wyszła do przedpokoj.

- Ale się cieszę, że cię widzę - zawołała, otwierając drzwi, ale w tej samej chwili jej oczy rozwarły się szeroko ze zdumienia, a z piersi wydarł się okrzyk przerażenia.

- Co do... Roddy?!

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Jade, *querida*, tęskniłaś za mną?

Jade wytrzeszczyła na niego oczy, przestraszona i osłupiała zarazem. Młody człowiek przeskoczył przez próg, uniósł ją do góry i zakreślił radośnie wkoło.

- Daj spokój, Roddy, puść mnie - błagała go szeptem.

Wreszcie uwolnił ją i odsunął się o krok, patrząc na nią z zachwytem.

- Kochanie, wyglądasz cudownie. Jeszcze piękniejsza niż zwykle. Powiedz, że za mną tęskniłaś.

Jade odchrząknęła i odzyskała częściowo głos, mogła więc zaprotestować, gdy Roddy znów ją przyciągnął do siebie i wycisnął głośnego całusa na jej policzku.

Z trwogą zerknęła ponad jego ramieniem na drzwi do pokoju, ale, na szczęście, wciąż były zamknięte. Mimo to jednak musiała w jakiś sposób wyprosić chłopaka ze swego mieszkania, i to przede wszystkim dla jego dobra.

- Cudownie, że przyjechałeś, Roddy, ale to nie całkiem... - powiedziała cicho, wywinawszy się z jego objęć.

- Nie mogłem już dłużej wytrzymać bez ciebie, skróciłem więc sobie kurs. I tak był nudny. - Roześmiał się bez cienia skruchy. - I przyjechałem, żeby cię zabrać do mojego domu.

- Nie!

- Ależ tak. Chciałbym, żebyś poznała Leona...
- Ee, Roddy, co do Leona...
- Opowiedziałem mu wszystko o tobie i jestem pewien, że polubi cię niemal tak jak ja.

Raczej wątpię, pomyślała Jade.

- I za trzy dni będziemy po ślubie - ciągnął triumfalnym tonem. - Dostanę specjalne zezwolenie i...

- Nie, Roddy - zawołała pospiesznie, widząc, jak za jego plecami klamka w drzwiach powoli się obraca.

- Tak, *querida*. - Zanim zdołała go powstrzymać, znów ją uniósł w powietrze, ale stanął jak wryty, gdy za nim rozległ się ostry głos.

- Leon?

Jade przyłgnęła do Roddy'ego, kręciło się jej bowiem w głowie, nie tyle jednak od szalonego powitania, co z wielkiego strachu.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś.

- Oczywiście, skąd mogłeś wiedzieć - odrzekł de Villada głosem pełnym ironii.

Roddy zaczął szybko coś tłumaczyć po baskijsku, ale Leon przerwał mu w tym samym języku, po czym przeszedł na angielski.

- Może zechciałbyś uwolnić pannę Lorrimer, Rodrigo.

Wyślizgnąwszy się pospiesznie z objęć Roddy'ego, Jade rzuciła starszemu z braci błagalne spojrzenie. Nie bądź dla niego zbyt srogi, starała się dać nim do zrozumienia, ale odpowiedział jej wzrok pełen tak zimnej pogardy, że aż się cofnęła.

- Jeśli pani pozwoli, panno Lorrimer - powiedział oschle - chciałbym porozmawiać z moim bratem. W cztery oczy - dodał, gdy dostrzegł, że się zawahała.

- Tak, oczywiście - wymamrotała. Nie zważając

na oburzenie Roddy'ego z ulgą wymknęła się i zamknęła za sobą drzwi.

Bardzo pragnęła znać treść rozmowy, ale duma nie pozwalała jej podsłuchiwać, przeszła więc niepewnym krokiem przez pokój i stanęła przy oknie, starając się skupić na panoramie gór. Podniesione głosy docierały jednak do niej aż tutaj, w końcu więc zawróciła do drzwi, starając się przeniknąć je oczami. W holu trwała wymiana chropawych, baskijskich słów. Roddy mówił ze swadą i podnieceniem, coraz bardziej się zapalając, odpowiadał mu zaś głos cichy i spokojny, od którego wiało chłodem.

Wreszcie po kolejnym namiętym wybuchu Roddy ucichł, a w parę sekund później frontowe drzwi otwały się i zamknęły z takim impetem, że cały dom zatrzęsł się w posadach. Wyciągając szyję Jade dostrzegła go, gdy odchodził wąską uliczką z opuszczoną głową. Widziała jeszcze, jak wściekle kopnął donicę z kwiatami, a potem zniknął za rogiem.

Biedny Roddy, pomyślała, wiem, jak się teraz czujesz. Tam w holu jest ktoś, kto zasłużył na takiego kopniaka, problem tylko w tym, że brak śmiałka, który by się odważył mu go wymierzyć.

Drzwi za nią otworzyły się. Rozprawivszy się ze swym braciszkiem wracał teraz pewnie, aby ją roznieść na strzępy. Na moment zacisnęła kurczowo palce na okiennej framudze, potem jednak powoli się odwróciła.

Gdyby nie jego lekko zaróżowione policzki i odrobinę przyspieszony oddech, można by sądzić, że rozegrana właśnie niemiła scena nie pozostawiła na nim żadnych śladów.

- Wydaje mi się, że pan naprawdę to lubi - powiedziała ze wstrętem, ale on tylko pytająco uniósł brew.

- Pan pewnie uwielbia poniżać i zastraszać ludzi  
- ciągnęła ostrym tonem. - Na pewno sprawia panu przyjemność...

- Czy przestraszyłem panią, panno Lorrimer?  
- spytał cichym i łagodnym głosem, ale skutek był natychmiastowy.

- Ja... - zawahała się, zbita z tropu. - Oczywiście, że nie. Nie boję się chamstwa.

- To dobrze, bo nie chciałem pani przestraszyć.

Czyżby? Kogo on chce nabrać, pomyślała Jade, usilnie starając się powstrzymać zdradzieckie drżenie. Przecież i tak wie, że mnie przeraża. Zasychało jej w gardle i czuła nadchodzące mdłości.

- A co pan zrobił z Roddym? - spytała, starając się nadać głosowi niewymuszone brzmienie.

- Oczywiście odesłałem go z powrotem do Londynu, aby skończył kurs.

- Niech pan nie będzie za ostry dla niego, bardzo proszę. On jest jeszcze bardzo młody.

- Nie musi mi pani tego mówić - zaśmiał się niewesoło. - Od chwili, kiedy dziesięć lat temu zmarł mój ojciec, pozostawiając mi całkowitą odpowiedzialność za sprawy majątku rodziny oraz za Rodriga, często zastanawiałem się, co jest dla mnie większym ciężarem. W każdym razie szybko przekonałem się, że jedyną metodą postępowania z moim bratem jest upór i konsekwencja.

- No tak, on tylko wyobraził sobie, że się we mnie zakochał. - Jade wydało się naraz, że musi go o tym koniecznie przekonać. - Jestem pewna, że mu to • wkrótce przejdzie.

- Hm. To możliwe, o ile znam Rodriga, ale pani, panno Lorrimer - wpił w nią oczy z nie-

pokojącą siłą - jest, obawiam się, typem kobiety, która jeśli raz wejdzie komuś w krew, staje się groźną gorączką.

- Na litość boską! - Zaśmiała się z przymusem.  
- Groźna gorączka! Mówi pan jak Roddy. Ach wy, Hiszpanie, przepraszam, Baskowie - poprawiła się, widząc jego groźne spojrzenie. - Wszyscy jesteście tacy sami. Tylko że zapomniał pan o jednym, gorączka sama się wypala.

- Nie zawsze. Czasami całkowicie opanowuje człowieka i niszczy go aż do śmierci.

Cofnęła się o krok, jak gdyby pragnąc osłabić siłę jego słów.

- Nie, nikt nie będzie ze mną tak blisko! - wykrzyknęła.

- Tak pani myśli?

- Wiem - odrzekła wyzywająco.

- Niech pani się tak nie zarzeka, panno Lorrimer. Chyba że... - Spojrzał na nią przenikliwie. - Oczywiście, to by tłumaczyło, dlaczego woli pani mężczyzn młodszych od siebie.

- Co to ma znaczyć?

- Mój nieszczęsny braciszek ma dwadzieścia jeden lat, a ten młody człowiek, który... spał tutaj tej nocy, moim zdaniem również jest blisko dwudziestki.

- Jaki pan spostrzegawczy - odparła zjadliwie.

- Tak, mój kuzyn ma dwadzieścia dwa lata.

- A pani dwadzieścia cztery.

- Skąd pan wie? - Znowu przebiegł ją dreszcz.

- Och, zebrałem wiele informacji o pani, panno Lorrimer - odrzekł niedbale, jakby nie zdając sobie sprawy z wrażenia, jakie wywarły na niej te słowa.

- A więc powtarzam, woli pani młodszych mężczyzn.

- Niekoniecznie, a zresztą co pana obchodzą moje sympatie czy antypatie? - Zaczynała wzbierać w niej złość. - Jeżeli po prostu czuję się z nimi bezpieczniej...

- O, właśnie. Dokładnie potwierdza pani moje domysły.

- Wcale nie - zaprzeczyła, przeklinając w duchu swój niesforny język. - W każdym razie przypuszczam, że według pańskich paskudnie szowinistycznych poglądów kobieta, która lubi towarzystwo młodszych od siebie mężczyzn, jest podejrzana. Gotów pan mnie oskarżyć o uwodzenie małych chłopców.

- Czemu nie? - wzruszył ramionami. - Na pewno ma się przy nich poczucie bezpieczeństwa, jeżeli tylko tego pragnie pani od życia.

, Nie mogła dać się wciągnąć w taką rozmowę.

- Jeżeli pan tak dba o dobro swego brata, dlaczego czekał pan aż do rana, zamiast zaskoczyć nas w nocy? W ten sposób z pewnością zdobyłby pan niepodważalny dowód mojego przestępstwa.

- Kiedy wczoraj wróciłem z Argentyny, w automatycznej sekretarce znalazłem zniekształcony zapis, z którego wynikało, że Rodrigo przyjedzie tutaj, aby panią zabrać. Miałem tylko nadzieję, że stanie się to trochę wcześniej.

- Ponieważ - powiedziała z wolna - spodziewał się pan, że nic go tak dobrze nie otrzeźwi, jak przyłapanie ukochanej...

- *Flagrante delicto*? Ma pani rację, panno Lorrimer. Cóż za bystry umysł mieści się w tej ślicznej główce. Naprawdę ślicznej.

Słyszając zmianę w tonie jego głosu podniosła oczy i zobaczyła, że wpatrywał się w nią uważnie. Powoli i z namysłem przesunął wzrok po jej twarzy i dalej,



po całym ciele. Nie zbliżył się nawet o krok, ale poczuła, że jej mięśnie tężeją, jak gdyby ich ciała naprawdę zetknęły się ze sobą. Elaine powiedziała, że powinna już przywyknąć do tego, iż zwraca uwagę mężczyzn, ale w jego spojrzeniu było coś znacznie bardziej niezwykłego niż pożądanie.

- Sądziłam, że przyjrzał mi się pan wystarczająco dokładnie wczoraj wieczorem na placu. - Usiłowała nadać głosowi zimny, odpychający ton, ale tylko zaczęła się jąkać.

- Tak, ale wtedy musiałem zachować dyskretny dystans, teraz zaś...

Tym razem poruszył się. Jade cofnęła się pod ścianę, podpierając się dłońmi i bezradnie patrzyła, jak zbliżał się do niej niczym drapieżca do swej ofiary. On jednak tylko delikatnie unióśł jednym palcem jej złoty łańcuszek. Musnął przy tym jej szyję tak powoli i zmysłowo, że nie miała wątpliwości, iż nie było to przypadkowe dotknięcie. Znalazł się tak blisko, że mogła wyczuć stóby aromat drzewa sandałowego i męskie ciepło, promieniujące z jego silnego ciała.

- Ro... Roddy nie kupił mi tego. - Wyschnięty język kołatał się jej w ustach.

- Wierzę pani, chociażby dlatego, że jego gust jest dość wulgarny.

- A pański nie, oczywiście. - Przez chwilę wytrzymała jego nieprzenikniony wzrok, po czym spuściła oczy.

- Ma pani rację, panno Lorrimer - wymruczał. - Ja wolę czyste piękno we wszystkich jego przejawach.

Poruszyła się niespokojnie. To było oczywiste, że on z rozmysłem rzucał na nią czar, próbując ją omotać i przyciągnąć do siebie. Oddychała szybciej, a gardło ścisnął jej strach, jak u człowieka rzuconego

na głęboką wodę. Czując, że traci zdolność oporu, zebrała resztki sił i usunęła się w bok, dalej od niego.

- Jak już panu mówiłam, kupiłam ten łańcuszek sama, a raczej - zdobyła się nawet na kwaśny uśmiech - kupił go mój bank.

Zdawała sobie sprawę, że to paplanina, ale tylko w ten sposób mogła się od niego odgrodzić.

- Dbłość o ubiór, stwarzanie wizerunku, to wszystko należy do mojego arsenału.

- W jakim sensie? - Wydawał się rzeczywiście zainteresowany.

- Już dawno zauważyłam, że jeśli ubiorę się w dzinsy i podkoszulkę, to raczej nie wzbudzę zaufania u moich potencjalnych klientów.

- A więc posługuje się pani swoją kobiecością jak bronią?

-- Tak, w pracy - odrzekła. - Z doświadczenia wiem również, że jeśli kobieta pragnie powodzenia w interesach, musi ubierać się jak dama, rozumować jak mężczyzna i harować jak wół.

- No, i pewnie żądlić jak osa - wtrącił zręcznie.

- To też, jeśli potrzeba - zgodziła się.

- Tak - powiedział w zamyśleniu. - W tych kusząco zielonych oczach kryje się coś, co każe mi przypuszczać, że pani... uządlenie może być straszne.

Ich oczy znowu spotkały się przelotnie i natychmiast poczuła, że czar ponownie zaczyna działać.

- Muszę teraz zająć się pracą - stwierdziła suchym tonem.

- Ach tak, tak, przeróbka domu we wsi.

A więc i to wiedział? No cóż, wolno mu.

- Tak, właśnie - odrzekła chłodno. - Jeżeli więc pan mi wybaczy...

Spróbowała go wyminąć, ale zablokował sobą całkowicie przejście do drzwi, a że nawet nie drgnął, poczuła, jak ogarniają złość.

- Niech mi pan powie - spojrzała prosto w jego granatowe, pozbawione uśmiechu oczy - skąd ma pan pewność, że ta paskudna poszukiwaczka skarbów, szczególnie kiedy już wie, z jak bogatej rodziny pochodzi Roddy, nie spotka się z nim natychmiast po powrocie do Londynu?

- On będzie tam tylko parę dni. Tyle, ile potrują końcowe egzaminy, które i tak z pewnością obleje..

- A dokąd wyśle go pan później, aby nie wpadł w moje szpony?

- Do naszego biura w Madrycie, ale w każdym razie pani i tak nie wróci do Londynu.

- Nie, nie od razu... - przerwała i wlepiła w niego oczy. Czyżby potrafił czytać w myślach?

- Skąd... skąd pan wie, że chcę pojechać do St Jean de Luz? Zdecydowałam się na to dopiero dzisiaj rano.

- Nic nie wiem o St Jean. Muszę mieć pewność, że nie będzie pani więcej kontaktować się z moim nieszczęsnym bratem...

- Ratunku! - nie wytrzymała Jade. - Jeżeli jeszcze raz nazwie pan Roddy'ego swoim nieszczęsnym bratem, to ja...

- Co pani, panno Lorrimer? - spytał cicho.

- Ja... och, nic - wybąkała ponuro. Dalej stał nieruchomo, ale jego przytłaczająca obecność sprawiała, że w pokoju zrobiło się jakby ciasniej.

- Ale ot tak, z ciekawości, chciałabym wiedzieć, w jaki sposób zamierza pan uchronić go od spotkania ze mną?

- Wydaje mi się, że ma pani prawdziwy talent do urządzania wnętrz.

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Czyżby proponował zgodę?

- Dziękuję - odrzekła z zakłopotaniem.

- Rezultat pracy nad tym wiejskim domem świadczy, że lubi pani swój zawód. Modernizując dom potrafiła pani nie tylko utrzymać jego baskijski charakter, ale nawet go uwydatnić.

*Senor* de Villada prawi jej komplementy? Jade zagryzła wargi, aby pohamować uśmiech.

- Cóż, cieszę się, że pan... Chwileczkę, czyżby to znaczyło, że pan tam był? Znowu mnie pan szpiegował, ale w jaki sposób...

- Dostałem się do środka? Powiedzmy, że... przekonałem dozorcę, aby mnie wpuścił.

- To znaczy przekupił go pan.

- Nie! - Na jego policzkach pojawił się blady rumieniec gniewu, ale głos pozostał aksamitny. - Pani naprawdę powinna częściej trzymać język za zębami, bo może to pani przysporzyć przykrości. Przypuszczam, że ten staruszek, chyba ma na imię Michel, ma do pani słabość, bo z wielką ochotą zapraszał obiecującego klienta.

- I do tego wszystkiego jeszcze pan kłamie!

- Jest pani straszliwie irytującą młodą damą. - De Villada wbił ręce w kieszenie, jak gdyby powstrzymywał się od potrząśnięcia nią.

- Nie, panno Lorrimer, ja nie kłamie. Widzi pani, mam dla pani pewną propozycję.

- O? - Przez myśl przemknęło jej podejrzenie.

- Zapewniam panią, że chodzi o interesy. Nie ma

się czego obawiać. Po prostu mam dom, który wymaga generalnego odnowienia.

- Tu, w tej wiosce?

- Nie, po drugiej stronie granicy. Kiedyś należał do moich rodziców, ale przez ostatnie parę lat był bardzo zaniedbany. Byłoby to z pewnością zadanie na miarę pani talentu.

- Nie - przeczenie samo wyrwało się jej z ust.

- Ts, ts - cmoknął karcąco. - Gdzież podziała się ta ambitna kobieta interesu?

- Nabrała rozsądku.

- Rozsądku? - Skrzywił usta. - Pani mnie rozczarowuje. Miałem panią za kobietę pełną zapału, a nie taką, która wycofuje się przed prawdziwym wyzwaniem.

Miał rację. Jeszcze nigdy nie odrzuciła propozycji pracy nawet bez wstępnych oględzin, a co dopiero, jeśli miałyby zająć się zarządzaniem prawdziwego baskijskiego domu, i to zapewne bez ograniczeń finansowych... ale nie. Była święcie przekonana, że współpraca z tym człowiekiem musi się dla niej źle skończyć. Należało jak najszybciej pozbyć się go.

- Bardzo mi przykro, *senor de Villada*. - Potrząsnęła zdecydowanie głową.

- I mnie również. - Wyglądało na to, że nie udawał. Chyba jej umiejętności naprawdę zrobiły na nim wrażenie, ale nie mogło to wpłynąć na jej decyzję.

- Ale sędzę - ciągnął dalej niespodziewanie ostrzejszym tonem - że Rodrigowi będzie jeszcze bardziej przykro.

- Roddy? A co on ma z tym wspólnego?

- Po prostu tyle, panno Lorrimer, że nie mam ochoty pozwolić pani chodzić wolno, dopóki trwa jego chwilowe szaleństwo.

- Co pan przez to rozumie?
- Jeżeli nie zgadza się pani przyjąć tego zlecenia, co pociągnęłoby za sobą przedłużenie pani pobytu w górach, nie pozostaje mi nic innego, jak wysłać mojego... - ta przerwa była niewątpliwie rozmyślna
- brata do naszej południowoamerykańskiej placówki w Argentynie. Na czas nieokreślony.
- A więc wilk zrzucił w końcu owczą skórę.
- Pan... pan jest szalony. To po prostu szantaż!
- Wpatrywała się w niego ze zdumieniem.
- Ja bym tego tak nie określił. - Zaciśnął mocniej wargi.
- A więc jak by pan to nazwał?
- Proponuję pani uczciwą transakcję handlową.
- Uczciwą? Czy de Villada w ogóle był w stanie zdobyć się na uczciwość?
- Wykorzystując Roddy'ego.
- Mój brat jest tu tylko pretekstem.
- Ale wie pan przecież, jak on tęsknił w Londynie za domem. Nie może pan mu tego zrobić, pańskiemu własnemu...
- Przykro mi, ale szczęście Rodriga zależy wyłącznie od pani.
- Ale drań z pana, wie pan?
- Nie musi pani tak się denerwować - po raz pierwszy odezwał się z wyraźną irytacją. - Ostatecznie używam języka, który takie kobiety jak pani rozumieją najlepiej - języka pieniędzy.
- Ach tak, rzeczywiście, byłabym zapomniała. Jako pozbawiona skrupułów poszukiwaczka skarbów powinnam dać się kupić, o ile tylko cena będzie godziwa.
- Zapewniam panią, że będzie.

- Sama ustalę zapłatę i uprzedzę pana, nie sprzedam się tanio.

- Ależ oczywiście. Nie mógłbym oczekiwać czegoś innego...

- Od kobiety takiej jak ja - dokończyła zjadliwie.  
- Dobrze, *senor* de Villada. Ze względu na Roddy'ego obejrzę ten pański dom, ale muszę pana uprzedzić, że nigdy nie przyjmuję zlecenia pochopnie, a zatem jeszcze nie zawarliśmy umowy. Może się okazać, że nie mam wystarczających kwalifikacji, aby zadowolić pańskie, niewątpliwie wygórowane, wymagania.

- Och, jestem pewien, że pani da sobie radę, panno Lorrimer. W przeciwnym razie nie angażowałbym pani. - Wilk znowu przywdział owczą skórę. - A zatem jest pani gotowa?

- Teraz, w tej chwili?

- A dlaczego by nie?

Rzeczywiście, dlaczego? Ten kipiący energią mężczyzna nie mógłby znieść opóźnienia o godzinę, a co dopiero o dzień.

- Dlatego, że nie skończyłam jeszcze mojej pracy tutaj - odpowiedziała stanowczo.

- Dobrze, dam pani godzinę - odrzekł, spoglądając na zegarek.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Jade powiedziała:

- W porządku.

Prześlizgnęła się obok niego, wzięła torbę z kanapy i zarzuciła ją sobie na ramię.

- Wrócę za godzinę.

- Ale ja idę z pania.

Zanim zdążyła zaprotestować, silna ręka ujęła ją pod ramię i wyprowadziła na zewnątrz.

- Czyżby pan się obawiał, że ucieknę? - zażartowała, gdy szli brukowaną uliczką.

Wyglądało na to, że potraktował to pytanie całkiem poważnie!

- Nie wiem - powiedział w końcu. - Reakcje większości kobiet można z łatwością przewidzieć, ale ten, kto by zaufał pani, mógłby znaleźć się w niezłych opałach.

- Cholera - zakłęła Jade pod nosem, stojąc niepewnie na kuchennym stole. Usiłowała umocować ostatni haczyk do zasłon. W normalnych warunkach dokończyłaby tę pracę w parę minut, ale teraz zupełnie jej nie szło. De Villada stał milcząc, oparty o kredens. Zauważyła, że przypatrywał się jej sylwetce, wyraźnie rysującej się pod jedwabną sukićką. Krępowało ją to i odbierało palcom zwykłą zręczność.

-Zrobione.

Ostatni haczyk opornie dał się wsunąć na miejsce. Z westchnieniem ulgi opuściła obolałe ramiona, obróciła się i nagle straciła równowagę. Runęła do tyłu, ale nie zdążyła upaść na podłogę. Para silnych ramion pochwytiła ją, przytrzymując w silnym uścisku.

De Villada ostrożnie postawił ją na ziemi, przytrzymując w talii i przesuwając palcami po jej ciele. Poczowała zawrót głowy i przez chwilę pozostała w jego objęciach, opierając wyciągnięte ręce o pierś. Pod dłońmi wyczuwała mocne mięśnie i spokojnie bijące serce, a nozdrza znów drażnił ulotny aromat drzewa sandałowego i męskiego ciała.

- Dzień... dziękuję - wyszeptała.

- Nic pani nie jest? Strasznie pani blada. - Nachylił głowę i ciepły oddech owionął jej policzki.



- Nie, czuję się dobrze.

Nieporadnie wydobyła się z jego ramion. Pozostawała pod wrażeniem bliskiego kontaktu z tak męskim ciałem, z jakim jeszcze nigdy nie miała do czynienia.

Starając się odzyskać równowagę ducha rozejrzała się wokół, tu wygładzając zasłonę, tam przesuując malowane porcelanowe talerze na półce.

- Moje gratulacje.

- Proszę? - Obróciła się do niego.

- To wszystko. - Ruchem ręki objął całą kuchnię.

- Michel pokazał mi na zdjęciach, jak wyglądało to wnętrze, zanim pani przystąpiła do pracy.

- Dziękuję - pozwoliła sobie na uśmiech, szczęśliwa, że napięcie nieco zelżało. - Muszę się przyznać, że kiedy pierwszy raz weszłam przez te drzwi, a raczej przez otwór, gdzie one powinny być, zrobiło mi się słabo, ale teraz...

Jeszcze raz obiegła wzrokiem całe pomieszczenie, ciesząc się łagodnym połyskiem drzewa, urodą porcelany, barwami chodników i zasłon, a kiedy znów spojrzała na de Villadę, przez chwilę ze zdumieniem dostrzegła aprobatę w jego oczach.

- Przepraszam, oceniałam wynik mojej pracy.

- Przybrała poważniejszą minę. - Ale i przypominałam sobie, ile to kosztowało wysiłku. Na przykład ta podłoga. - Wskazała piękną, starą posadzkę z różowego kamienia. - Trzy dni spędziłam na kolanach, zanim zdołałam usunąć brud, który narastał przez czterysta lat. Ludzie kiedyś musieli dzielić ten pokój z bydłem.

- To bardzo prawdopodobne. - Roześmiał się, pokazując piękne białe zęby i Jade wydało się, że po raz pierwszy zachował się w naturalny sposób. - Niech

pani mnie poprawi, jeśli się mylę, ale wydawało mi się, że projektanci wewnątrz nie zajmują się skrobaniem podłóg.

- No nie, zazwyczaj nie, ale ja jestem inna. Tylko niech pan sobie nie wyobraża, że jestem zapalonym hydraulikiem czy elektrykiem. Ja tylko naprawdę lubię takie roboty jak zmywanie podłóg lub ścian.

Zmarszczyła nos, a potem ciągnęła dalej, mówiąc na poły do siebie:

- Wie pan, nigdy się nad tym wcześniej nie zastanawiałam, ale dla mnie rzeczywiście projektowanie wyglądu każdego pokoju w domu to tylko połowa roboty. Dopiero zdzieranie warstw starych tapet albo zeskrobywanie brudu z podłóg to czysta fizyczna rozkosz. Czy pan mnie rozumie?

Spojrzała na niego z uśmiechem i zobaczyła, że nie odrywał oczu od jej twarzy.

- Tak - odpowiedział. - Chyba panią rozumiem, choć co do mnie, to wolę inne... fizyczne rozkosze.

Jade odwróciła twarz czując, że się oblewa rumieńcem. Zwykle potrafiła dać sobie radę z nieprzyzwoitymi żartami, dlaczego więc teraz było inaczej? Czyżby chodziło o to, że nigdy jeszcze nie spotkała takiego mężczyzny? W takim razie po co sama pcha mu się w ręce, godzi się z nim jechać? Przecież on z pewnością blaguje. Chyba nie byłby zdolny ukarać Roddy'ego aż tak?

- No a teraz, panno Lorrimer... - Znów spojrzał ostentacyjnie na zegarek. - Jest już pani gotowa?

Zerknęła na niego spod oka, ale kiedy ujrzała jego zacięte usta i wyraz zdecydowania na twarzy, zrezygnowała z dalszego oporu.

- Muszę jeszcze tylko napisać parę słów do mojej

przyjaciółki Elaine. To ta, którą widział pan wczoraj wieczorem - dodała znacząco.

Stał nad nią, postukując denerwująco palcami po wyłożonym kafelkami kuchennym blacie i bezwstydnie czytał jej przez ramię. W tej sytuacji Jade zaledwie napomknęła o możliwości uzyskania nowego zlecenia, po czym przerwała, trzymając pióro w ręku.

- Państwo Phillips, właściciele tego domu, przyjeżdżają jutro, do nich więc nie muszę pisać. Pan odwiezie mnie na pewno wieczorem.

To było stwierdzenie, a nie pytanie, ale on potrząsnął przecząco głową.

- To niemożliwe. Dzisiaj tu nie wrócimy.

- To znaczy, że to jest za daleko, aby obrócić przez jeden dzień, tak?

Nie odpowiedział, a jego twarz pozostała nieprzenikniona.

Jade rzuciła pióro na notatnik i wstała. Myśli kłębiły się jej w głowie. Spędzić noc pod jednym dachem z de Villadą, mężczyzną tak zmysłowym, a zarazem nie ukrywającym swego zdania o jej moralności, czy też raczej jej braku? Ale on się myli, i to bardzo. Było oczywiste, że mu się spodobała. Przeklinała w duchu swoją urodę, którą Elaine tak wystawiała. No cóż, cokolwiek on sobie wyobraża, będzie potrafiła dać mu do zrozumienia, i to w razie potrzeby boleśnie, że z nią przygoda na jedną noc w ogóle nie wchodzi w rachubę.

- No dobrze. - Starła się drżącemu głosowi nadać beztroskie brzmienie. - Jeżeli da mi pan jeszcze pięć minut, wezmę trochę rzeczy i już będę gotowa.

Schowała pióro i notatnik do torebki i rzuciła:

- Chodźmy.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- *Gracias, señor.*

Jade uśmiechnęła się do hiszpańskiego celnika, odebrała paszport, na który zaledwie rzucił okiem, i schowała go do torby. De Villada podjechał lśniącym ferrari F40 do drogi, prowadzącej za graniczny posterunek.

Ciekawe, czy on zawsze dobiera kolor samochodu do swoich oczu, pomyślała od niechcenia. Atramentowoniebieskie ferrari, atramentowoniebieskie oczy... Prześlizgnęła się wzrokiem po jego profilu. Długa twarz, ostro zarysowane kości policzkowe, wąski, lekko zakrzywiony nos... W gruncie rzeczy to arystokratyczna twarz. Te rysy znaczyło dobre paręset lat tradycji.

Z pewnością nie była to jednak twarz człowieka, z którym chciałyby zawrzeć bliższą znajomość. Pod warstewką wyrafinowania kryło się w niej okrucieństwo, które odnalazła w wąskich, mocno zaciśniętych ustach i orlim nosie...

To była twarz drapieżnego ptaka i to dosłownie, a nie w przenośni, uświadomiła sobie naraz. Poczuła w sercu ukłucie lęku. Przecież obserwował ją, krążąc jak jastrząb, a potem spadł na nią i porwał, teraz zaś unosi do swego górskiego gniazda, aby nasycić swój apetyt.

Twarz, na której pewnie nigdy nie zagościł wyraz

czułości., ale wyobraźmy sobie, że jego wrażliwe wargi układają się w zmysłowy uśmiech, a cudowne oczy rozpalają się ogniem namiętności...

Poczuła się nieswojo i w tym samym momencie de Villada spojrział na nią. Jade oblała się rumieńcem. Obawiała się, że uzna, iż się nim zainteresowała, i odwróciła głowę, zamierzając patrzeć tylko w okno.

- O, Roncesvalles. - Zdążyła odczytać na drogowskazie i zapominając o niedawnym postanowieniu, zapytała: - Czy to ta Roncesvalles?

- Słyszała pani o niej?

- O przełęczu Roncesvalles, gdzie rozegrała się bitwa? Oczywiście. - Z zaciekawieniem spojrzała w głąb stromej, wąskiej doliny, gdzie tysiąc dwieście lat temu oddział partyzantów wciągnął w zasadzkę i wyciął w pień hufiec doborowych rycerzy Karola Wielkiego, a potem podniosła wzrok na groźne, postrzępione grzbiety gór.

- Przypuszczam, że oni kryli się gdzieś między tymi skałami.

- Tak jest - odrzekł lakonicznie.

Oczywiście wyobraźni ujrzała czaty obserwujące, jak Roland, ulubiony wódz cesarza, nie podejrzewając niczego wiedzie swych ludzi ku przełęczu, prosto w pułapkę.

- Och. - Zadrzała, po czym uśmiechnęła się do niego przepaszająco. - A dookoła taki spokój, niebo błękitne i świeci słońce.

- Jak wszędzie na polach dawnych bitew. - Uśmiechnął się lekko. - Rozumiem jednak, co pani ma na myśli. Gdzieś w tej dolinie spoczywają ciała tysiący ludzi.

- To chyba Hiszpanie zastawili tę pułapkę, prawda?

- Naprawdę to byli Baskowie - odrzekł oschle.
  - O, nie wiedziałam, a dlaczego?
  - Po prostu nie podobało im się, że drogę z Hiszpanii do Francji skracano sobie przez ich ziemie.
  - A więc rozbili w puch całą armię. - Zaśmiała się nerwowo. - Pewne rzeczy w ogóle się nie zmieniają.
  - Co właściwie ma pani na myśli? - zapytał gniewnym tonem.
  - No... - Poczowała się onieśmielona jego gwałtowną reakcją na rzuconą mimochodem uwagę. - Podczas pobytu tutaj zauważyłam, że wy, to znaczy Baskowie - poprawiła się szybko, widząc jego minę - jesteście bardzo przywiązani do ojczyzny.
  - A więc uważa pani, że zna nas wystarczająco dobrze, aby nas osądzać?
  - No nie, nie chciałam... - Zaczerwieniła się, słysząc w jego głosie nagane.
  - Ale tym razem ma pani rację, panno Lorrimer. Od dawna bronimy wszystkiego, co posiadamy - naszej ziemi, domów, kobiet.
  - Mój Boże, to pachnie średniowieczem, wie pan?
  - Jade nie była w stanie się pohamować.
  - Ale i na odwrót - ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na jej słowa - gdybym znalazł się w opałach, nie mógłbym liczyć na nikogo poza moimi rodakami.
- Doprawdy, pomyślała, cóż to za dumni, zapalczywi i niesłuchanie drażliwi ludzie. Gdybym znalazł się w opałach... Jej wzrok powędrował ku stromym, zielonym zboczom. Być może to nawet jeden z przodków de Villady dowodził atakiem i pierwszy rzucił się w wir zjadłej walki wręcz.
- Zerknęła na niego z ukosa, przez chwilę wyobrażając go sobie nie za kierownicą samochodu, lecz przemy-

kającego wśród skał, z mieczem w poplamionych krwią dłoniach... Skupiła wzrok na tej parze rąk, wspartych niedbale o kierownicę w skórzanym pokrowcu. Były starannie utrzymane, a jednak emanowała z nich, tak zresztą jak i z całej jego postaci, brutalna siła.

Ileż w nim zmysłowości. Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy uświadomiła sobie, że nigdy dotąd żaden mężczyzna nie wzbudził w niej równie gwałtownych reakcji. Przez ostatnie parę lat jej uczucia ograniczały się wyłącznie do sympatii lub antypatii. Nawet wobec tych mężczyzn, jak Dave czy Roddy, których naprawdę lubiła, nie czuła niczego więcej. Nie doświadczała owego stałego fizycznego napięcia przy najbliższym zetknięciu, jak choćby teraz, gdy de Villada zmieniając bieg na ostrym zakręcie otarł się o nią.

Zacisnęła ręce na kolanach. Musiał zauważyć ten nagły ruch, bo spojrzał na nią pytająco.

- Podziwiałam właśnie pański pierścień - wyjąkała pierwsze słowa, jakie jej przyszły do głowy.

W odpowiedzi oparł się przez chwilę o kierownicę nadgarstkami, zdjął z prawej ręki ciężki złoty sygnet i wręczył jej. Wzięła go niechętnie i trzymając ostrożnie w dwóch palcach, jakby miał ją ugryźć, przyjrzała mu się dokładniej.

- To godło Basków, prawda? - Precyzyjny grawerunek na pierścieniu przedstawiał siedem maleńkich tarcz herbowych.

- Tak. Niech pani popatrzy od środka.

Przechyliła pierścień i po jego wewnętrznej stronie zobaczyła wyryte jakieś słowa.

- *Zazpiak Bat*. Siedem w jednym. Siedem baskijskich prowincji tworzy jedną całość.

- *Za-zpi-ak Bat* - powtórzyła powoli.

- Całkiem niezłe, panno Lorrimer. - Ku jej zdziwieniu zmrużył oczy i błysnął zębami w szerokim uśmiechu. Zdumiała się. Wpatrywała się w niego z rozchyłonymi ustami, aż wreszcie otrząsnęła się z oszołomienia i wyciągnęła rękę z pierścieniem.

- Dziękuję. To piękna rzecz.

Zamiast jednak wziąć pierścień, wysunął prawą rękę, odchylając serdeczny palec. Zawahała się, ale potem spróbowała bardzo ostrożnie włożyć mu pierścień na palec, nie dotykając skóry, kiedy jednak utknął na zgięciu, a on nie zrobił nic, aby jej pomóc, musiała lewą ręką ująć jego dłoń, by przepchnąć sygnet na miejsce.

Kiedy podniosła głowę, ich oczy się spotkały. W ułamku sekundy powstało między nimi szczególne napięcie. Odrzuciła gwałtownie jego rękę, jak gdyby jej ciepło ją parzyło i odwróciła głowę, starając się zapanować nad zmysłami.

De Villada ostro skręcił kierownicę i zjechał z szosy w wąską, boczną drogę. Przez mniej więcej godzinę zmierzali pod górę i Jade musiała bardzo się pilnować przy każdym z licznych zakrętów, które zdawały się nie mieć końca.

Kiedy znaleźli się na szczycie, de Villada zerknął w jej stronę i zahamował.

- Wygląda na to, że przydałaby się pani chwila wytchnienia - odpowiedział na jej pytające spojrzenie.

- O tak, po tych zakrętach. Czy to jedyna droga do pańskiego domu?

- Nie. Szosa, którą jechaliśmy wcześniej, również prowadzi do mojej wioski, ale tędy jest krócej. Może trochę bardziej niebezpiecznie. - Rzucił okiem w prze-



paść, otwierając się niemal pod kołami. - Ale ja lubię niebezpieczeństwo, a ty, Jade?

Po raz pierwszy wymówił jej imię. Kontrast z dotychczasowym oficjalnym tonem był tak wielki, że wytrąciło ją to całkiem z równowagi.

- Nie, zdecydowanie nie - odpowiedziała.

- O, to szkoda. - Pokiwał głową ze smutkiem. - A wydawałaś mi się typem kobiety, która uwielbia ryzyko.

Doszła już do siebie na tyle, by spojrzeć na niego z oburzeniem.

- Cóż, przykro mi, że pana rozczarowałam, *señor de Villada* - odrzekła i aby pokazać mu, że uważa rozmowę za zakończoną, wyprostowała się i spojrzała prosto przed siebie. Tuż przed maską samochodu dżoga opadała raptownie w głęboką dolinę, a dalej aż po odległy horyzont ciągnęły się postrzępione górskie szczyty.

- Och! - westchnęła zachwycona, a potem, zanim zdołała się opamiętać, obróciła się ku niemu.

- To cudowne!

- Czyżby nie była pani jeszcze w górach?

- Zaraz po przyjeździe przejechałam się kolejką la Rhune. To była urocza wycieczka, ale ten widok - gestem ręki objęła całą panoramę - jest niewiarygodny.

- Prawda?

On jednak nie patrzył wcale na góry, lecz na jej twarz. Instynktownie cofnęła się w głąb samochodu. Zamarła bez ruchu, kiedy uniósł rękę, ale on tylko dotknął pasma kasztanowatych włosów, które podmuch wiatru zsunął na policzek, i założył je za ucho - i znów powietrze wokół nich stało się jakby naładowane elektrycznością.

Gwałtownie szarpnęła się, otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu, ale musiała się zatrzymać w miejscu, gdzie zbocze opadało niemal pionowo wprost spod stóp. Stała z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, zapatrzona w przepaść, aż naraz wstrząsnął nią dreszcz.

- Zimno pani? - Usłyszała jego głos tuż zza pleców.

- Nnie - odparła, ale kiedy spojrzała na swoje ramiona, zobaczyła, że były pokryte gęsią skórka.

- Ma pani zawroty głowy?

- Zazwyczaj nie. Wie pan, w podobnej sytuacji mówi się, że śmierć zajrzała mi w oczy - próbowała żartem zbagatelizować niepokój.

- Hm. - Chwyił ją za nadgarstki i przyciągnął ku sobie, a kiedy próbowała się uwolnić, poczuła, że gładzi uspokajająco jej przegub.

- No tak, zmarzła pani.

- Lepiej wróć do samochodu.

Wyzwoliła się z jego rąk i pokuśtykała do auta, a on jeszcze przez chwilę spoglądał w dół, zanim zajął miejsce obok.

- Przepraszam, ale rzeczywiście poczułam się bardzo dziwnie - odezwała się z bladym uśmiechem. - To było coś... sama nie wiem, coś w powietrzu, jakies poczucie smutku i opuszczenia. To chyba wpływ gór.

- Być może, chociaż niektórzy powiedzieliby, że to wpływ Serafiny opłakującej ukochanego.

- Serafiny?

- W jednej z tamtych wsi dobrze ponad dwieście lat temu żyła młoda dziewczyna. Była zaręczona z chłopcem z sąsiedztwa, ale kiedy w te strony trafił pewien artysta, Anglik, zakochała się w nim i zdecydowała na wspólną ucieczkę. Jej trasa wiodła jpi/ez tamtą dolinę - wskazał palcem - i tą właśnie drogą.

Jade wpatrywała się w krętą drogę, oczyma wyobraźni widząc zbliżające się ku nim pospiesznie sylwetki dwojga ludzi w rozwianych płaszczach.

- Udało im się? - spytała pełną obaw, choć nie rozumiała ich przyczyny.

- Dokładnie w tym miejscu natknęli się na jej czterech braci - urwał, a Jade nerwowo splótła dłonie.

- I co oni zrobili?

- Któż to może wiedzieć? - Rozłożył wymownie ręce. - Pewne jest tylko, że ów młody człowiek przypadkowo, a może nie, spadł do przepaści właśnie tam, gdzie pani stała. Później w tym miejscu, gdzie odnaleziono jego ciało, wieśniacy na pamiątkę postawili prosty krzyż.

- Jak to ładnie z ich strony. - Serce Jade przepełniało współczucie dla aktorów tego dawnego dramatu.

- A co stało się z Serafiną?

- Oczywiście wydano ją natychmiast za mąż za jej byłego narzeczonego.

- No tak, ale co się z nią stało?

- Przykro mi panią rozczarować, ale serce jej nie pękło. Szybko przywykła do obowiązków dobrej baskijskiej żony i urodziła swemu mężowi tuzin dziarskich dzieciaków.

- Och, jakie to nieromantyczne. - Jade uśmiechnęła się, naprawdę niemal rozczarowana, nagle jednak przysła jej do głowy pewna myśl.

- To dlatego pan się tutaj zatrzymał, co? Chciał mi pan opowiedzieć tę historię?

- Ależ pani podejrzliwa - odpowiedział, ale nie zaprzeczył.

- Niech się pan nie martwi, *señor* - odezwała się.

- Zrozumiałam morał. Baskowie żenią się tylko z Baskijkami, prawdą?

- Tak będzie nam się łatwiej porozumieć - odrzekł, rozkładając ręce.

- O tak, na pewno - powiedziała sztywno i odwróciła głowę, aby spojrzeć przez okno.

- Czy to właśnie tam pan mieszka, tam, gdzie te domki? - Wskazała ręką grupę budynków o pomarańczowych dachach po przeciwnej stronie doliny.

- Tak, to moja rodzinna wioska - potwierdził, a w jego głosie zabrzmiała duma.

Kiedy podjechali bliżej, dostrzegła przypominający dziecięcą zabawkę kościółek, wraz z obowiązkowym boiskiem do peloty. Powyżej na ogromnej skale widniał ufortyfikowany starodawny zamek.

Wioskę spowijała atmosfera wczesnopopołudniowej drzemki. Wszystkie drzwi i okiennice były szczelnie zamknięte, jedynie na zakurzonym placyku kilka psów wylegiwało się w cieniu drzew, a na ławeczce przy kościele siedziało trzech pomarszczonych staruszków.

Przejeżdżając obok nich, de Villada zwolnił i coś zawołał po baskijsku. Odpowiedzieli wszyscy, a jeden nawet pozdrowił ich podniesieniem laski. Jade zauważyła, że trzy pary wiekowych męskich oczu dokonują owego grzecznego, acz skrupulatnego oglądu, do którego zdażyła już przywyknąć, potem zaś jeden z nich wykrzyknął jakąś uwagę, która wywołała chichot wszystkich trzech.

De Villada roześmiał się, odkrzyknął coś w odpowiedzi, a potem obrócił się do niej i już otwierał usta, aby przetłumaczyć te słowa, jednak rozmyślił się i dodał gazu, machając staruszkom na pożegnanie.

- Co on powiedział? - zapytała.

- Och, nic takiego. — Wzruszył lekceważąco ramionami. - Taki tam dowcip. Pani by się nie spodobał.

- Zapewne to baskijski dowcip.

- No nie, niespecjalnie baskijski. To raczej... męski żart na temat pięknej kobiety. Koniecznie chce pani, żebym przetłumaczył?

- Nie, dziękuję. - Patrzyła prosto przed siebie, a na jej policzkach pojawił się rumieniec gniewu.

Tuż przy drodze znajdował się piękny dom w typowo baskijskim stylu, o nisko opadającym dachu, biało-zielonej fasadzie i balkonach z kutego żelaza, obwieszonych girlandami szkarłatnego geranium. Ta śliczna posiadłość to na pewno jego siedziba, pomyślała, ale nie - minęli go bez zatrzymania, a potem w ogóle wyjechali ze wsi.

Gdzież on więc, u diabła, mieszka? Zaczęły ją dręczyć podejrzenia. Czyżby ukartował to wszystko tylko po to, aby ją wywieźć, a tak naprawdę nie było żadnego domu? Ale w takim razie... W tym momencie samochód skręcił w sklepioną bramę w wysokim murze, przemknął przez brukowany dziedziniec i zatrzymał się u stóp podwójnych schodów, prowadzących wprost do...

- Witam panią w moim domu.

- To znaczy... Pan tu mieszka? - Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, a głos jej załamał się piskliwie. - W. zamku?

- Niestety tak - stwierdził ponuro, choć była niemal pewna, że w atramentowej głębi jego oczu dostrzegła iskiereki złośliwego rozbawienia.

- I... i pan chce, żebym odnowiła zamek?! - Od-ruchowo mięła palcami miękki skórzany pasek torby.

- Oczywiście..

- Ale przecież mówił pan, że to dom, dom pańskich rodziców - wykrzyknęła oskarżycielsko.

- Bo to był ich dom, dopóki się nie przenieśli do San Sebastian, a teraz mam zamiar stworzyć tu rodzinną siedzibę - „i pani mi w tym dopomoże bez dyskusji”, słychać było w jego tonie.

- No tak, ale... - przerwała, gdyż wyskoczył z samochodu, przeszedł na jej stronę i otworzył drzwi z wyszukaną galanterią. Jade nie ruszała się z miejsca, czując się odrobinę bezpiecznie wewnątrz. Nie trwało to jednak długo, ponieważ on nachylił się, ujął ją pod ramię tak mocno, że z trudem zdusiła okrzyk bólu i w następnej chwili stała na dziedzińcu.

Spojrzała na zamek wznoszący się nad ich głowami i naraz ogarnęła ją panika. Zazwyczaj potrafiła ukryć wątpliwości, szczególnie jeśli miała do czynienia z bogatym klientem, tym razem jednak to była zupełnie inna sprawa. Po prostu nie było co udawać - sama myśl o podjęciu się takiego zadania przerażała ją. Rozbabcze robotę, zrobi z siebie kompletną idiotkę, a jak on wtedy zareaguje?

- Przykro mi, *senor* de Villada - sama się zdumiała chłodem w swoim głosie - ale naprawdę nie mogę przyjąć tego zlecenia. Raczej nie zajmuję się zamkami.

- Zupełnie jakby proponowano jej trzy na tydzień, pomyślała z gorzką ironią.

- Doprawdy? - Uniósł brwi z uprzejmym zdziwieniem. - A więc mimo wszystko nie ma pani ochoty zmierzyć się z tym wyzwaniem?

Wyzwaniem? Jade uświadomiła sobie nagle, że to nie zamek był wyzwaniem, ale on sam, ten groźny mężczyzna. Nagle uświadomiła sobie, że nie da rady, że nie potrafi postępować z tym typem człowieka,

którego istnienia nie była świadoma jeszcze parę godzin temu...

Los zdecydował jeszcze wcześniej, zanim po raz pierwszy spotkali się twarzą w twarz w jej mieszkaniu. To było to dziwne uczucie osaczenia wczoraj wieczorem w kawiarni. Naiwnie sądziła wtedy, że to tylko strach. Oczywiście, był w tym i strach, bo od samego początku wyczuwała, że nieznajomy, jak nikt inny, zagraża jej mozolnie osiągniętej stabilizacji. Większe niebezpieczeństwo groziło jej jednak z innej strony.

Chodziło o jej wrażliwość na jego zmysłowy, fizyczny magnetyzm. Pierwsze sygnały wyczuła, kiedy jeszcze pozostawał w ukryciu. Od tamtego czasu ta sprawa nie dawała jej spokoju. Nie potrafiła nad sobą zapanować. On rzucił na nią urok. Zły urok.

Musiała od niego uciekać, i to zaraz, zanim będzie za późno. Miała świadomość, że gdzieś w głębi duszy zaczyna kiełkować jak chwast niewytłumaczalny pociąg do tego mężczyzny, ale wraz z nim śmiertelne zagrożenie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nim jednak Jade zdołała odezwać się, de Villada otworzył bagażnik, wyjął torbę podróżną i gestem wskazał schody.

- Pani będzie uprzejma tędy.

Zachowywał się jak gościnny gospodarz, ale oboje wiedzieli, że gdyby nie ruszyła się z miejsca, zrezygnowałby z dobrych manier i po prostu powłókłby ją do wielkich drzwi u szczytu schodów. Zdusiła więc w sobie lęk, potrzęsnęła kasztanową czupryną i poszła przodem, stukając obcasami.

Oczywiście nie zamierzała podjąć się tej pracy, to już było zdecydowane, ale musiała dostosować się do jego reguł gry. Nie masz innego wyjścia, Jade, pomyślała. On ją po prostu porwał, ale przecież nie będzie jej tu więził. Nie jest aż tak bezwzględny - a może...?

No nic, zwiedzi ten wstrętny zamek, udając zainteresowanie. Potem złoży wyrazy uniżonej wdzięczności za uczyniony jej zaszczyt. W końcu zrećźnie wymówi się od przyjęcia zlecenia, a wtedy nie pozostanie mu nic innego, jak odwieźć ją z powrotem, jeżeli nie dziś wieczorem, to najpóźniej jutro rano.

Kiedy weszli na schody, drzwi otworzyły się i ukazała się w nich uśmiechnięta kobieta w średnim wieku, ubrana w czarną suknię i biały fartuch. Mówiła szybko po baskijsku. Jade spojrzała na nią nieco



zdziwiona. Czyżby to była jego matka? Wyglądało na to, że bardzo go lubi, a przecież tylko matka mogłaby pokochać tego okropnego człowieka.

De Villada powstrzymał potok słów, całując kobietę w oba policzki, a potem zwrócił się do Jade.

- To Maria Chabatene. Była moją nianią, a teraz pełni rolę gospodyni.

A więc nie pomyliła się znów tak bardzo. Czy to w ogóle możliwe, żeby ten de Villada był kiedyś niemowlęciem w pieluszkach? O mały włos nie zachichotała, ale dostrzegłszy jego wzrok uśmiechnęła się tylko grzecznie do kobiety i wyciągnęła rękę na powitanie.

Ci dwoje wymienili parę niezrozumiałych słów, a potem on powiedział:

- Maria mówi, że wygląda pani na zgrzaną. Może napiłaby się pani czegoś chłodnego?

- *Gracias, senora...*

- Ona nie mówi po hiszpańsku - przerwał jej szorstko.

- Ach tak, w takim razie... - Jade jeszcze raz uśmiechnęła się ciepło, ale wyłącznie do kobiety - niech pan jej powie, że dziękuję, ale odmawiam. Przyjechałam tu do pracy, a więc bierzmy się za nią, dobrze?

- Jeżeli pani uparła się być męczennicą, nie będę w tym przeszkadzał. - Wzruszył ramionami.

- Im wcześniej zaczniemy, tym - tu już chciała powiedzieć, że tym szybciej skończy się ta maskarada i będzie mogła się stąd wyrwać, lecz szybko się poprawiła - lepiej, zgodzi się pan ze mną?

Zamruczał coś pod nosem, a potem wziął jej torbę. Wolną rękę położył jej na ramieniu i poprowadził przez cudownie chłodny, ocieniony hol i mroczny

korytarz. Kroki rozbrzmiewały stłumionym echem na czarno-białych marmurowych płytach posadzki.

Wspięli się na schody. Jade usiłowała dotrzymać mu kroku. Potem minęli jeszcze jeden korytarz, zastawiony ciemnymi, solidnymi na oko meblami. Na koniec dotarli do celu. Kiedy weszła do pokoju i zobaczyła stereofoniczny gramofon, plakaty i oprawione zdjęcia drużyn piłkarskich, wszystko stało się dla niej jasne.

- Ależ to z pewnością jest...

- Tak, pokój Rodriga, ale na czas pani pobytu należy do pani. - Odstawił jej torbę i uśmiechnął się uprzejmie.

- Sądziłem, że spanie w jego łóżku może być dla pani pewnym ukojeniem, choć oczywiście... - zawiesił głos na moment, a ona już wiedziała, co nastąpi - jego tam, niestety, nie będzie.

- Och! - Zachnęła się gniewnie, lecz natychmiast dała za wygraną. Zdawała sobie sprawę, że jeszcze raz powinna bronić swej reputacji, wykrzyzczyć mu w twarz, że nigdy nie pozwoliła Roddy'emu na nic więcej poza trzymaniem za rękę czy niewinnym całusem, ale co by to dało? Trzymaj nerwy na wodzy, powtarzała sobie w duchu, znoś cierpliwie obelgi i uciekaj stąd najszybciej, jak tylko się da.

Uniosła głowę i odwróciła się od niego, ale gdy jej wzrok prześlizgnął się po łóżku, oczami wyobraźni ujrzała ciemną głowę na poduszce, a na niebieskim kocu odrzuconą we śnie, opaloną rękę, ale nie była to ręka Roddy'ego, lecz jego starszego brata!

Stanąła jak wryta, starając się zapanować nad sobą. Zerknęła spod rzęs w kierunku de Villady i zobaczyła, że wpatrywał się w nią z ironicznym

półśmieszkiem, jak gdyby odgadł przyczynę jej zakłopotania. Ruszyła gwałtownie pód przeciwległą ścianę, udając zainteresowanie' zdjęciami, które pokrywały niemal całą jej powierzchnię.

- O, Athletic Bilbao. - Nie była w stanie mówić normalnym głosem. Zauważyła z niepokojem, że długotrwałe napięcie daje się już jej we znaki.

- Powinnam była się domyślić. Oni przecież przyjmują tylko Basków, prawda?

- Tak, aż do dzisiaj. Interesuje się pani futbolem?

- W jego głosie zabrzmiało lekkie zdziwienie;

- Ja nie, ale Stephen... - urwała, ale było już za późno.

- Co za Stephen?

- Ach, taki przyjaciel - wymamrotała, przeklinając własną gadatliwość.

- Tylko przyjaciel? - Przeszedł przez pokój i stanął tuż za nią.

- Właściwie to mój były narzeczony. - Starła się mówić niedbałym tonem, ale nie potrafiła stanąć twarzą w twarz.

- Pani były narzeczony - powtórzył powoli, jakby starał się zapamiętać tę informację na przyszłość.

- A czy... to zdarzyło się niedawno?

- Ach nie, to stare dzieje. Miałam siedemnaście lat.

- Taka młoda - wyszeptał.

- Tak - odrzekła ze ściśniętym gardłem. - No proszę, niech pan to powie! - Nerwowe napięcie dodało jej wojowniczości.

- Co mam powiedzieć, droga Jade?

- Proszę mnie nie nazywać „drogą Jade”. - Teraz wreszcie obróciła twarz ku niemu. - Taka młoda, a już zdeprawowana. Pozbawiona skrupułów po-

szukiwaczka skarbów, to chciał pan powiedzieć, prawda? - Rzuciła mu wyzywające spojrzenie. - Rozumie pan, on był bardzo bogaty.

- Ależ oczywiście. - „Tego nawet nie trzeba mówić” brzmiało w jego głosie. - A więc dlaczego się nie udało?

- Och, po prostu nie wyszło - ucięła krótko.

- Co za przykry zawód.

- A żeby pan wiedział. - Wpatrywała się w niego.

- Widzi pan, ja go kochałam. - Odżył dawny ból, ale jego spojrzenie pozostało niewzruszone.

- No cóż, pociechą może być to, że już za młodu nauczyła się pani kardynalnej zasady każdej łowczyni posagów, iż nie należy mieszać interesów z uczuciem.

Zranił ją, ale była zbyt dumna, aby to pokazać.

- Rzeczywiście, nauczyłam się i tego błędu już nigdy nie popełnię.

Zacisnęła wargi i wyjęła z torebki ołówki i notatnik.

- W porządku - rzuciła szorstko przez lewą ramię.

- Możemy zaczynać?

- A nie chciałaby pani wziąć prysznicu i przebrać się? Łazienka jest obok. Maria przygotowała już dla pani ręczniki, mydło i tak dalej.

- Ale skąd... - urwała i oczy jej pociemniały.

- Czyżby wiedziała, że pan mnie tu przywiezie, zanim jeszcze się spotkaliśmy?.

- Oczywiście. Wspomniałem jej o tym wczoraj przed wyjazdem. A więc co z prysznicem?

- Dziękuję, nie. - Ścisnęła mocno notatnik pod pachą i ruszyła w stronę drzwi.

- Nie będę pani prosił o żadne przeróbki w tym skrzydle - powiedział, prowadząc ją korytarzem.

- Włożono tu już dostatecznie dużo pracy.

Zatrzymał się przy kolejnych drzwiach i otworzył

je, odsłaniając, ku jej ogromnemu zdumieniu, widok na pokój wypełniony najnowszymi osiągnięciami techniki biurowej. Dostrzegła telefaksy, kopiarki i komputery, a na środku ogromne biurko ze stosem teczek, kilkanaście telefonami i automatyczną sekretarką. Całości dopełniał obrotowy fotel w tym samym stylu.

- To serce i mózg imperium de Villadów - stwierdził lakonicznie.

- To... zdumiewające - rzuciła - i to w środku średniowiecznego zamku. Czym się pan właściwie zajmuje?

- Żegluga, handlem zagranicznym, ubezpieczeniami - odrzekł ze wzruszeniem ramion.

- Aha. - Udała, że nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Mój pradziadek w zeszłym stuleciu założył firmę jeszcze na małą skalę. Miał małą flotyllę łodzi rybackich w Bilbao, a kiedy wielu Basków wyemigrowało do Ameryki Południowej, głównie do Argentyny, dostrzegł szansę zarobku w żegludze przez Atlantyk. Interes rozwijał mój dziadek, który również miał na imię Leon, ale dopiero mój ojciec przekształcił firmę w to, czym jest obecnie, czyli koncern na skalę światową.

- A więc pan po prostu wszedł na jego miejsce?

- Najwyraźniej pomyliła się w jego ocenie, miała go bowiem za człowieka, który wszystko zawdzięcza samemu sobie.

- Nie całkiem - odpowiedział oschle. - Moja matka urodziła Rodriga już w niemłodym wieku i nigdy całkiem nie wróciła do zdrowia. Chociaż ojciec wyprowadził się stąd i wybudował willę w San Sebastian w nadziei, że morskie powietrze dobrze na nią wpłynie, umarła, kiedy mój brat miał dwa lata.

- A pan...?

- Czternaście.  
- Och, współczuję.  
- Rodrigowi? - Usta wykrzywił mu cyniczny grymas.

- Wam obu.

- To już, jak pani mówi, stare dzieje. - Przez chwilę przypatrywał się jej bacznie. - Po jej śmierci ojciec zaniedbał interesy, a kiedy odszedł...

- Ile pan miał wtedy lat?

- Dwadzieścia parę. Stwierdziłem wtedy, że oprócz opieki nad młodszym, rozbrykanym bratem mam jeszcze na głowie ratowanie upadającej firmy.

Jade patrzyła na niego, czując, że pod skorupą niechęci i strachu budzi się w niej sympatia. Może to stąd brała się jego surowość, może w innych okolicznościach stałby się drugim Roddym, beztróskim i nieodpowiedzialnym... Przez chwilę w miejsce dojrzałego, surowego oblicza widziała wesołą twarz, nietkniętą znamieniem przedwcześnie włożonych na jego barki, zbyt ciężkich obowiązków.

- A pański ojciec - spytała lekko drżącym głosem - nie wrócił, aby tu zamieszkać?

- Nie. Myślę, że nie mógłby w tych murach znieść braku mojej matki. Byli sobie bardzo bliscy.

- Kiedy to mówił, jego ostre rysy złagodniały.

- Nasza centrala mieściła się w Bilbao, a więc tam się przeprowadził. Jednakże zeszłej zimy zdecydowałem, że wrócę tu, do mego domu rodzinnego i że najprościej będzie pozostawić całe biuro w Bilbao. Przy dzisiejszych środkach łączności mogę równie dobrze pracować tutaj, a współczesny transport - cóż, wystarczy powiedzieć, że jeszcze wczoraj byłem w Argentynie.

Jeszcze wczoraj. Czyżby naprawdę tak mało czasu minęło od jego powrotu, kiedy w automatycznej sekretarce znalazł wiadomość od Roddy'ego? Rzuciła gniewne spojrzenie na Bogu ducha winny aparat. To przez to, że tak wiernie zapisał owe brzemiennie w skutkach słowa, w jej życie wkroczył ten zdecydowany, bezkompromisowy człowiek.

De Villada znów wyszedł na korytarz i poprowadził ją za sobą aż do...

- Ależ to pańska sypialnia - wyrwał się jej okrzyk.

Nawet gdyby nie odgadła tego z ascetycznego, niemal klasztorowego wystroju pomieszczenia, unoszący się w powietrzu słaby aromat drzewa sandałowego był wystarczającą wskazówką.

- Tak, rzeczywiście. Jaka pani przenikliwa. - I znowu ten złośliwy uśmiešek.

- Ale przecież...

Jade rozejrzała się dookoła. Podłogę pokrywał gruby, brązowy dywan, zdażyła też zauważyć, że narzuta i zasłony były w ciepłych, zgaszonych barwach. Nieliczne ze smakiem dobrane stare meble różniły się bardzo od zwalistych pudeł, jakie zauważyła po drodze w korytarzu.

- Przecież ten pokój jest już urządzony.

- Tak. Zrobiłem to, gdy tylko się wprowadziłem.

- Moje gratulacje. - Nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Ma pan dobry gust.

- Gdybym wówczas wiedział, kto będzie moim projektantem wnętrz, zostawiłbym to pani. Wiesz, Jade... - bez najmniejszego ostrzeżenia jego głos przycichł, przechodząc w intymny, pieśczośliwy szept - marzę, żebyś urządziła moją sypialnię.

Chciała stanowczo zaprotestować, że nie ma zamiaru

projektować czegokolwiek w tym domu, a już szczególnie jego sypialni. Jednak jedynie w milczeniu odpierała jego wyzywające spojrzenie, a potem spytała:

- Dlaczego pan mnie tu przyprowadził, skoro ten pokój jest gotów?

T To właśnie, moja droga Jade, jest zasadnicze pytanie.

Jade ogarnął lęk. De Villada zaczął odpinać guziki koszuli, aż wreszcie ściągnął ją całą, odsłaniając gładką, opaloną pierś. Dopiero kiedy niedbale rzucił koszulę na łóżko, Jade odskoczyła, aż oparła się plecami o ścianę, skąd wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie ma się czego bać - powiedział łagodnie. - Po prostu muszę wziąć prysznic po przejażdżce w tym upale, chociaż pani uparcie tego odmawia. - Otworzył drzwi garderoby i wyjął czarny płaszcz kąpielowy. - A może jednak pani się przyłączy?

Posłał jej przez ramię krzywy uśmiech, a kiedy gwałtownie pokręciła głową, wszedł do łazienki, wciąż z tym nieprzyjemnym uśmiechem na twarzy.

Spoza ściany słychać było szum wody. Znowu oczyma duszy ujrzała niepokojące obrazy. Widziała strumienie wody spływające po jego przystojnej twarzy wprost na obnażone, muskularne ciało. Woda ściekała po szerokich ramionach i klatce piersiowej, po szczupłych biodrach...

Usiłując pozbyć się tych natrętnych myśli, Jade wyrzała przez okno i stwierdziła, że sypialnia de Villady musiała znajdować się na tyłach zamku, ponieważ nie było widać wiejskich zabudowań. Jak okiem sięgnąć, aż po odległe góry, ciągnęły się uprawne pola.



Tuż przy zamku znajdował się niewielki, zarośnięty ogród i boisko do peloty, starannie oznakowane i wyposażone w obowiązkową łukowatą ścianę. Jade z trudem powstrzymała uśmiech. Proszę, proszę, własne boisko do peloty, ale właściwie co w tym dziwnego? Przecież każda szanująca się wiejska posiadłość w Anglii ma własne korty tenisowe i tereny do krykieta.

- Podziwia pani widok? - Za jej plecami odezwał się nagle cichy głos. Aż podskoczyła.

- Życzyłabym sobie... - zaczęła, obracając się do niego i nagle urwała.

Włosy miał jeszcze wilgotne po kąpieli, a czarny szlafrok odsłaniał gołą, muskularną pierś.

- A więc czego by pani sobie życzyła? - zagadnął, unosząc pytająco brwi.

- Życzyłabym... - miała ściśnięte gardło, trudno jej było oddychać - żeby pan się tak nie podkradał do ludzi.

- A to dlaczego? Czy to pani przeszkadza?

- Dobrze pan wie, że tak. Nie lubię być zaskakiwana. Zauważyłam, że ma pan własne boisko do peloty - dodała sztywno.

- A tak. Urządziłem je natychmiast po przeprowadzce.

- A więc pan gra. - To było głupie stwierdzenie, ale on właśnie podszedł do niej i rękawem szlafroka musnął jej ramię i wtedy poczuła drzenie w całym ciele.

- Kiedy mam czas.

- To wspaniała gra, prawda? Rozegrałam parę meczów we wsi. - Wiedziała, że znowu zaczyna pleść bzdury, ale nie potrafiła się powstrzymać. - Chyba nie miałby pan nic... to znaczy, czy mogłabym zagrać z panem dziś wieczór?

- To nie jest gra dla kobiet - uciał krótko.
- Taki z pana szowinista... Może nie dla baskijskich kobiet, ale ja nie jestem Baskijką.
- Nie, z pewnością. - Otaksował ją chłodnym spojrzeniem.

To była zdecydowana odmowa, ale Jade nie traciła rezonu.

- W każdym razie ma pan piękny widok z okna, *señor* de Villada.

- Leon.
- Co?
- Na imię mam Leon.
- Już mi pan to mówił, ale widzi pan, *señor* de Villada, wolałabym...
- A ja bym wolał, żeby pani używała mego imienia - przerwał tonem nie pozwalającym na dalszą dyskusję.

Jade przysięgła sobie w duchu, że za żadne skarby nie wypowie tego imienia z własnej woli i udało się jej dotrzymać obietnicy przez chwilę.

- Idziemy dalej? - spytała, on jednak, jakby tego w ogóle nie usłyszał, zapytał bowiem:
  - Czy widzi pani tego ptaka, tam wysoko?
  - Gdzie? - Fakt, że znajdował się tak blisko, iż wystarczyłby jeden krok, aby zetknęła się z jego nieomal nagim ciałem, zaczynał mącić jej umysł.
  - O, tam. - Ujrzała wielkiego ptaka szybującego bez ruchu w spokojnym powietrzu. - To sęp płowy.
  - Drapieżnik? - spytała ochrypłym głosem.
  - Tak. Miejscowa ludność nazywa je łamignatami, chwytają bowiem w pazury swoją zdobycz, głównie króliki albo jagnięta, i wynoszą ją na wielką wysokość, korzystając ze wstępujących prądów, a potem zrzucają

na skały. Prawdopodobnie to poprawia smak mięsa - dodał lekkim tonem.

Wysiłkiem woli Jade starała się opanować. Nagle przypomniała sobie, że przecież porównała go do jastrzębia i prosię, czyż teraz nie znalazła się wysoko w jego gnieździe? Czy jej też był sądzony los tych bezbronnych zwierzątek? Oczywiście nie miała na myśli fizycznego unicestwienia, choć on pewnie chętnie straciłby ją z dużej wysokości, ale tak czy inaczej wyjdzie pokonana z tego pojedynku. Patrząc na głązy u stóp zamku niemal widziała w wyobraźni własne ciało roztrzaskane w kawałki jak ciało kochanka Serafiny, takiego jak ona intruza, który ośmielił się postawić stopę na zakazanej ziemi...

- Jeszcze lepszy widok jest stąd, proszę zobaczyć.  
- Drgnęła, kiedy mocna ręka ujęła ją pod ramię. Niechętnie pozwoliła się przeprowadzić przez otwarte drzwi.

Włączył światła i oczom jej ukazała się największa łazienka, jaką kiedykolwiek widziała, a w dodatku, w przeciwieństwie do niemal spartańskiej sypialni, urządzona ze zbytkownym przepychem. Umywalka z kremowego marmuru ze złotymi kurkami sąsiadowała z dużą kabiną natrysku. Marmurowe ściany łazienki miały miodowy kolor. Tuż pod zaciągniętymi, roletami wielkiego okna, które zajmowało niemal całą ścianę, znajdowała się wpuszczona w podłogę, /ogromnych rozmiarów okrągła wanna, częściowo oddzielona od reszty pomieszczenia lekkimi parawanami z bambusa. Całości dopełniały ozdobne, pnące rośliny.

Jade rozglądała się wokół z niedowierzaniem. Ta łazienka wydawała się wręcz dyszeć bezwstydną

zmysłowością. W swojej pracy przekonała się niejednokrotnie, że ludzie nieświadomie ujawniają wiele prawdy o sobie wyborem wnętrza. Czyżby zestawienie łazienki z sypialnią było kluczem do zrozumienia tej skomplikowanej osobowości?

- Czy pan sam urządził tę łazienkę?

- Oczywiście.

- Cudowna. - Mówiąc to, nie śmiała podnieść oczu, nachyliła się więc i powiodła dłonią po chłodnej, bladej żyłkowej powierzchni wanny.

- Dawniej wanna znajdowała się tam - wskazał na odległy kąt - ale szkoda mi było widoku, który mogłem podziwiać przy goleniu.

Podniósł rolety i naraz ukazała się przed nią wspaniała panorama odległych i tajemniczych gór.

- Teraz mogę się, zachwycać zachodami słońca przy kąpiel. Sama powinnaś tego spróbować, Jade. Oczywiście, nie pozwalałam nikomu korzystać z mojej łazienki, ale w tym wypadku byłbym uszczęśliwiony, gdyby to rozkoszne ciało...

- No nie! - Jade wreszcie wybuchła. - Wyjaśnijmy sobie coś raz na zawsze, *senor de Villada*. Wyznaję zasadę, że stosunki z klientami pozostają na całkowicie bezosobowej płaszczyźnie, a teraz przepraszam.

On jednak nie poruszył się. Zapomniała o obawie przed dotknięciem jego ciała i nierozważnie pchnęła go w pierś, aby zrobić sobie przejście. Natychmiast chwycił ją za rękę i choć wrywała się gwałtownie, przyciągnął do siebie.

- Niech pan mnie puści, bo... - ale reszta gniewanych słów zamarła na jej wargach, przygniecionych gwałtownym pocałunkiem.

Ze wściekłym pomrukiem usiłowała odrzucić głowę

w tył, ale przytrzymał ją ręką i unieruchomił, zatapiając palce w kasztanowatych splotach, aż załkała i łyzy bólu napłynęły jej do oczu. Spróbowała chwycić go i oderwać od siebie, kiedy jednak zanurzyła rękę w jego gęstych, wilgotnych włosach, gniew nagle ustąpił miejsca innemu uczuciu.

Drugą ręką trzymał ją w pasie, całą dłońią przyciskając do siebie. Czuła jego silne ciało i nagle w odpowiedzi gdzieś w głębi rozbłysła iskra pożądania, a potem strzelił płomień, który wypełnił ją całą.

Zacisnęła palce na jego włosach, przyciągając go teraz, a nie odpychając, a potem z cichym jękiem zamknęła oczy i poddała mu się całkowicie.

scandalou

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Pocałunek jednak skończył się równie raptownie, jak się zaczął. De Villada oderwał się od jej ust i odepchnął ją na odległość ramienia tak gwałtownie, że byłaby upadła, gdyby nie oparła się ręką o ścianę. Nie mogąc złapać tchu, wpatrywała się tylko w niego oczami wciąż jeszcze pociemniałymi z namiętności.

Naraz jednak zauważyła na jego' wąskich, małomównych wargach wąły uśmiech satysfakcji, którego nie miał nawet zamiaru ukrywać, i oczy wypełniły jej łzy gniewu i wstydu. Skradł jej tylko jeden pocałunek, ale w jej instynktownej reakcji odnalazł dokładnie to, czego szukał. Nie mógł przecież wiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu nie całowała mężczyzny tak zachłannie, i to mężczyzny, którego się bała, wręcz nienawidziła. Jak mogła tak postąpić?

Wierzchem dłoni przeciągnęła po jeszcze piekących wargach, a potem gwałtownym ruchem wytarła ją o spódnicę, jakby usiłując usunąć wszelki ślad.

Przyglądał się temu, co robiła, ale zamiast gniewu na jego twarzy dostrzegła znów ten dyskretny uśmiezek i to rozbudziło jej wściekłość. Starając się zapanować nad nierównym rytmem oddechu, wyprostowała się dumnie.

- Jeżeli mamy kiedyś skończyć ten obchód, to może lepiej ruszajmy?

- Jak sobie życzysz, ale najpierw - sięgnął ręką do

paska szlafroka, co ją natychmiast spłoszyło - chciałbym się przebrać. Oczywiście, możesz zostać, ale...

Cofnął się o krok, a ona rzuciła się przez sypialnię na korytarz. Czując, że nogi uginają się pod nią, oparła się o pokrytą boazerią ścianę i wtedy ujrziała swoje odbicie w wielkim zwierciadle w kutych ramach. Twarz w wypiekach, szeroko rozwarte oczy i rozczochrane włosy, a usta... nie, Jade nawet nie mogła patrzeć na te nabrzmiałe i rozchylone wargi, które jakby błagały o jeszcze jeden pocałunek.

Oszołomił i zdumiał ją ten widok. Co się z nią, na Boga, dzieło? To nie mogła być prawda. Elaine żartowała z niej, że pozuje na nieprzystępną, ale to nie była poza. TSką właśnie była Jade Lorrimer, chłodna, zrównoważona, z dystansem i zawsze przy zdrowych zmysłach...

Kiedy po paru minutach de Villada ukazał się na korytarzu, wpychając białą koszulę w czarne dżinsy, Jade stała daleko, przyglądając się z uwagą hebanowej, wysokiej komodzie.

- Jeszcze trochę kawy?
- O tak, bardzo proszę.

Wyrwana z zamyślenia, Jade wręczyła mu kruchą filiżankę i z powrotem usadowiła się na wyściełanej huśtawce. Z tego tarasu również rozpościerał się wspaniały widok na góry. Jego słowa przerwały długą ciszę, w której oboje kontemplowali piękny zachód słońca.

- A więc - zapytał, wręczając jej pełną filiżankę
- zdecydowałaś się już, od czego zaczniesz?

Jade głęboko zaczerpnęła powietrza. Nadeszła chwila, kiedy należało chłodno spojrzeć mu w oczy

i powiedzieć stanowczo, że nie zamierza przyjąć tego zlecenia.

Uciekaj, Jade, uciekaj, błagał ją wewnętrzny głos, póki jeszcze możesz. Otworzyła usta i usłyszała, jak mówi:

- Chyba zacznę od skrzydła z pokojami gościnnymi.

Ostatnie słowo zmieszało się z westchnieniem. Dlaczego to powiedziała? Dlaczego poddała się na wstępie bez walki? Czy to z tchórzostwa, z obawy przed jego gniewem?

Nie, dobrze wiedziała, dlaczego to zrobiła. Kiedy oglądali po drodze jeden po drugim cudowne, ale rozpaczliwie zaniedbane pomieszczenia, jej wyobraźnia zaczęła działać. Urządzenie tego zamku mogłoby przysporzyć jej sławy na całe życie, a choć jak zwykle miała wątpliwości, odrzuciła je ze zniecierpliwieniem. Stała przed życiową szansą stworzenia rzeczy absolutnie pięknej i czuła, że z minuty na minutę jej niezdecydowanie maleje.

Przekonała się o tym ostatecznie podczas kolacji w wytwornej jadalni.

- Kiedy jestem sam, zazwyczaj tu nie jadam - powiedział, a potem dodał z owym krzywym uśmiechem, do którego już zaczęła się przyzwyczajać - ale chciałem w ten sposób uświetnić twój pierwszy wieczór na zamku.

Nawet jeszcze wtedy kusiło ją, żeby odpowiedzieć: „pierwszy i zarazem ostatni”, zdawała sobie jednak już sprawę, że podejmie się tej pracy.

Gdy teraz zerkała na niego ukradkiem, jak wygodnie rozpierał się na fotelu, miała nadzieję, że potrafi pracować tu i zarazem trzymać go na dystans, chociaż... Niewątpliwie jej pragnął, a dla mężczyzny tego typu,



któremu każda kobieta wydaje się należnym łupem, to był wystarczający powód.

Być może Baskowie muszą żenić się między sobą, ale dla niego ta zasada nie mogła być żadną przeszkodą w nawiązywaniu romansu z kimkolwiek innym. Miał prawo uważać ją za łatwą zdobycz po tym, jak zachowała się przy pocałunku. Na to wspomnienie zapiekły ją policzki, nachyliła się więc nad kawą, aby ukryć rumieniec. Zaraz jednak znowu zacisnęła usta. Niech sobie myśli, co chce. Świadomość, że nią pogardza, ułatwi jej opór następnym razem.

- Tak - powiedziała na w pół do siebie. - Przyjmę to zlecenie.

- Naturalnie. - Rozłożył ręce wymownym gestem.

- Czy w ogóle miałam możliwość wyboru?

- Oczywiście, że nie - odrzekł z lekkim zdziwieniem.

- To znaczy - oblizała nagle zaschłe wargi - gdybym odmówiła, zatrzymałby mnie pan tutaj bez mojej zgody, nawet siłą?

- Tak, ale przyznasz, że to bardziej... cywilizowany sposób.

Cywilizowany? Kiedy znowu usiadł wygodniej, popijając kawę, rzuciła na niego szybkie spojrzenie. Stara angielska porcelana, ubranie od madryckiego krawca, włoskie buty ręcznej roboty... Elegancki, zadbany mężczyzna, ale tuż pod powierzchnią krył się człowiek, który jak średniowieczny feudał nie widziałby nic złego w uwięzieniu jej, gdyby tak mu się spodobało.

- Oczywiście - przytaknęła niemal normalnym głosem - muszę uważać, aby nie traktować tego zamku jak angielskiej wiejskiej rezydencji.

- Znasz takie domy?

- Tak. - Uśmiechnęła się smutnie na widok jego zaskoczenia. - Ale nie jako córka pana domu, rzecz jasna. Moja matka była służącą, a potem ochmistrzynią w rozmaitych posiadłościach. Kiedy byłam mała, ciągnano mnie z jednego domu do drugiego - no, może nie dosłownie, chociaż czasami tak to od-czuwałam.

- A więc stąd wzięło się twoje umiłowanie piękna.

- Spojrzała na niego zdziwiona, a on ciągnął dalej:

- Zauważyłem, że nie mogłaś się powstrzymać, aby nie dotknąć chińskiej jedwabnej zasłony, czy też nie pogłodzić posadzki z różanego drzewa w salonie.

- To są naprawdę piękne rzeczy. - Czuła się niemal zawstydzona, jakby ją przyłapał na gorącym uczynku.

- Ale chyba ma pan rację. Matka często pokazywała mi pokoje chlebowców, oczywiście kiedy nie było ich w domu. Kiedy wracali, ja miałam być niewidzialna.

- To brzmi dość gorzko. - Pomimo niedbałego tonu bacznie się jej przyglądał.

- No tak. - Zawahała się, a potem nagle podjęła decyzję. - Stephen był synem zamożnej rodziny. Zaręczyliśmy się w tajemnicy, kiedy miałam siedemnaście lat, ale rodzina to odkryła, a on... on nie wytrzymał presji.

- A ty wytrzymałaśbyś?

V Nie wiem. Nie miałam okazji przekonać się o tym.

+• Ale kochałaś go?

- Oczywiście i to bardzo, chociaż - dodała szczerze - kiedy teraz o tym myślę, sędzę, iż poszukiwałam poczucia bezpieczeństwa, którego nigdy nie znalazłam. W każdym razie, kiedy nas rozdzielono, moja matka dostała wymówienie, jakby to była jej wina, a Stephena wysłano daleko...

Przerwała, bo nagle przyszło jej coś do głowy.

- No tak, to rzeczywiście wygląda podobnie. Wpierw Stephen, a teraz Roddy - ale on nie podjął rzuconej rękawicy.

- Czy twoja matka znalazła inną pracę?

- Tak, dostała posadę gospodyni w londyńskim mieszkaniu bogatego amerykańskiego biznesmena.

- I dalej tam pracuje?

- No, nie - przyznała Jade niechętnie. - W zeszłym roku pobrali się i teraz większość czasu przebywa w Nowym Jorku.

- Ach tak.

Powiedział to półgłosem, jakby do siebie, ale w jego tonie było coś, co zwróciło jej uwagę.

- Co „ach, tak”, *senor!* Pomyślał pan sobie, że jaka matka, taka córka, co?

Wzruszył tylko ramionami, co ją rozdrażniło jeszcze bardziej.

- Myli się pan i to pod każdym względem. Żadna z nas nie polowała na bogatego męża, jak to się panu uroiło. Moja matka' i Joe, mój ojczym, są po prostu szalenie szczęśliwi, jak para dzieci.

Wspomnienie wywołało uśmiech na jej twarzy, kiedy jednak dostrzegła jego ironiczne spojrzenie, zaczęła mówić dalej, potrząsając kasztanowatymi włosami.

- Co do mnie zaś, cóż... Od chwili zerwania ze Stephenem przyrzekłam sobie, że bezpieczeństwo w życiu będę zawdzięczać sobie i tylko sobie. Widzi pan^ mój ojciec był ubogim artystą. Umarł, kiedy miałam pięć lat, pozostawiając w spadku tylko stos nie zapłaconych rachunków. Aha, i jeszcze moje imię, bo to był jego pomysł.

- Jade. - Wymówił to słowo, jakby je smakował, i wtem, jednym skokiem znalazł się obok niej na huśtawce. Zanim zdołała się cofnąć, ujął ją pod brodę, a że nie opierała się, bez trudu obrócił jej twarz ku sobie.

Popatrzył beznamiętnie w jej oczy, jakby była martwym przedmiotem. Przysunął twarz tak blisko, że mogła widzieć czarne obwódki wokół jego ciemnoniebieskich tęczywek i głęboką czerń źrenic, w których odbijała się jej własna postać, maleńka jak główka szpilki.

- Twój ojciec miał rację - powiedział w końcu.  
- Do tych wspaniałych, zielonych oczu imię Jade, oznaczające półszlachetny kamień pasuje znakomicie.

Rozluźnił chwyt, wstał i nalał do kieliszków likier.

- Dla mnie nie - odmówiła, ale było już za późno. Podczas kolacji nie piła prawie nic i przyrzekła sobie dalej tak postępować, ale on wcisnął jej kieliszek do ręki, a kiedy to zrobił, koniuszki ich palców zetknęły się.

W tym momencie Jade poczuła falę mrowienia, która przebiegła przez trzymającą kieliszek dłoń i nadgarstek aż do ramienia. Przypomniało jej to artykuł, który znalazła niedawno w jakimś magazynie. O czym to on mówił? Aha, że w miejscach szczególnie wrażliwych na podniety zmysłowe, takich właśnie jak czubki palców lub wargi, znajdują się miliony, a nawet miliardy zakończeń nerwowych. Czytała artykuł dwukrotnie, nie mogąc w to uwierzyć, ale jej zainteresowanie było czysto teoretyczne. Teraz doświadczyła osobiście wrażeń, podobnych do opisywanych.

Niemal wpadła w panikę. Chciała zerwać się na równe nogi i uciekać. I to wszystko z powodu jednego

przelotnego dotknięcia! Ale nie mogła postępować pochopnie. Zbyt zależało jej na tej pracy. Pociąg zmysłowy do mężczyzny, którego nienawidziła, nie przeszkodzi jej.

Z udawanym spokojem uniosła kieliszek pod światło.

- Co za piękny kolor. - Spróbowała ostrożnie.  
- Mmm, doskonałe. Jak łagodny, zielony ogień. Co to jest?

- Izarra, baskijski likier.

- Baskijski, oczywiście, a co poza tym?

- Robi się go z kwiatów i ziół zbieranych wysoko w Pirenejach.

- Jest bardzo mocny. - Pociągnęła jeszcze łyk.

- Tak, rzeczywiście. Złota Izarra jest słabsza. Może wolałbyś ją?

- Nie, dziękuję. To mi odpowiada.

- A więc - podniósł kieliszek w jej stronę - wypijmy toast. Za nasz nowy... związek, Jade.

Spojrzał jej prosto w oczy. Było oczywiste, co kryło się w tych pozornie niewinnych słowach. Przez chwilę kusiło ją, aby nic nie odpowiedzieć, ale potem uniosła swój kieliszek.

- Za naszą udaną współpracę - odrzekła.

Zanim zaczęła mówić dalej, napiła się jeszcze ognistego płynu, aby dodać sobie odwagi.

- Chyba od razu na wstępie powinnam jedną sprawę postawić jasno, *senor*... no dobrze, Leonie. Znalazłam się tutaj, aby wykonać konkretną robotę. Masz o mnie błędne zdanie, choć nie spodziewam się, żebyś kiedykolwiek się do tego przyznał. W każdym razie jednak, nasz, jak to ująłeś, związek, jest możliwy wyłącznie na płaszczyźnie zawodowej.

Przytaknął skinieniem głowy.

- Przyrzekam ci, Jade, że dopóki jesteś pod moim dachem, nie będziesz musiała robić niczego, czego byś sobie nie życzyła.

Tak, chciała odpowiedzieć, ale to nie jest to, o co mi chodziło, i ty o tym dobrze wiesz. Czując jednak, że grunt usuwa się jej spod nóg, zmieniła temat.

- Nie omówiliśmy jeszcze spraw finansowych.

- Czy musimy mówić o takich trywialnych rzeczach?  
- odrzekł lekceważąco.

- Tak, koniecznie - zapewniła stanowczo, bo wyczuwała, że tylko w ten sposób może czuć się mu równa. - Nie mogę podać dokładnej ceny, zanim nie dokonam szczegółowego oszacowania, ale w każdym razie praca potrwa przynajmniej kilka miesięcy, moje wynagrodzenie wyniesie więc około - zawahała się przez chwilę - dwustu tysięcy.

Boże, dlaczego ona, niemal nowicjuszka, wymieniła takie zawyżone honorarium? Sama zadawała sobie to pytanie, ale zanim skończyła mówić, znała już na nie odpowiedź. On miał ją za pazerną chytruskę, a ona nie miała najmniejszego zamiaru wyprowadzać go z błędu. Czekwała teraz z bijącym sercem na odpowiedź, która padła bez śladu wahania:

- W funtach czy pesetach?

- W funtach, oczywiście - zdołała to powiedzieć bez zająknięcia.

- Zgadzam się.

- Naprawdę? - Wytrzeszczyła oczy. Już spodziewała się, że wybuchnie pogardliwym śmiechem, a tymczasem iznowu została zbita z tropu.

- Ależ tak. Fachowcy cenią się wysoko, a ja jestem pewien, że twoje... usługi będą na najwyższym poziomie.

Krył się w tych słowach obraźliwy podtekst, ale postanowiła go zignorować.

- W takim razie dobrze, umowa stoi.

Oczywiście nie zamierzała zatrzymać ani pensa z jego zapłaty. Niech tylko znajdzie się bezpiecznie z powrotem w Londynie, a wtedy w pożegnalnym geście odeśle mu wszystko. W ten sposób ostatnie słowo będzie należało do niej, a nie do tego aroganckiego, pyszałkowego typu.

O tak, pomyślała w przypływie uniesienia, tak właśnie zrobię. Na dodatek jakimś cudem odstąpiła się przed nią właściwa metoda postępowania z tym człowiekiem. Należało tylko podsycać jego pogardę, albowiem im bardziej wystawiała się na jego szydersztwa, tym łatwiej udawało się trzymać go na dystans.

- Tak dla porządku, Leonie, wiedząc, co sobie o mnie myślisz, zastanawiam się, skąd masz pewność, że kiedy skończę tę pracę, nie udam się znów w pościg za Roddym? Ostatecznie - rzuciła mu umyślnie uwodzicielskie spojrzenie - czyż on się we mnie nie zadurzył? A przyznasz, że wydusić nader korzystne zamówienie od jednego brata, a potem usidlić drugiego, to duży sukces dla poszukiwaczki skarbów, co?

- Tak dla porządku, Jade - odrzekł, potrząsnawszy głową. - Muszę ci powiedzieć, że kiedy skończysz pracę, Rodrigo będzie już tylko wyblakłym wspomnieniem.

- Wydajesz się tego bardzo pewny - odparowała.

- Jestem bardzo pewny, bo widzisz, droga Jade - jego głos przycichł do wymownego szeptu - zamierzam usunąć z twojej pamięci myśl o jakimkolwiek innym mężczyźnie, abyś do końca życia nie mogła się pozbyć za żadną cenę wspomnienia o mnie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jade ze strachem przebudziła się z sennego koszmaru. De Villada zbliżał się do niej, wlepiając w nią granatowe oczy. Na jego twarzy igrał ów tajemniczy, nieprzyjemny uśmiech, wyciągał ręce...

Ze stłumionym jękiem przewróciła się na plecy i otarła pot z czoła. Te senne majaki... Pamiętała je dokładnie, zbyt dokładnie. Serce waliło jej mocno. Z trudem wracała do rzeczywistości. Dopiero po chwili usłyszała dobiegające z zewnątrz postukiwanie.

Drżąc jeszcze, wstała z łóżka, podeszła do okna, ostrożnie uniosła jedną roletę i wyjrzała, mrużąc oczy w słonecznym blasku.

Stukot nagle ucichł, a potem wprost spod okna dobiegło ją stłumione przekleństwo. Odruchowo skurczyła się w sobie i przytuliła do kamiennego obramowania, ale potem wychyliła się poza parapet i wydała cichy okrzyk zdumienia.

Poprzedniego dnia nie zauważyła, że boisko do peloty znajdowało się dokładnie pod jej oknem, kiedy więc spojrzała w dół, zobaczyła de Villadę w trakcie samotnego treningu. Właśnie szykował się do serwu. Ruszył biegiem, wyskoczył wysoko i obrócił się wokół osi, podrzucając jednocześnie piłkę. Wiklinowa rakietka śmignęła w powietrzu i piłka wystrzeliła pięknym łukiem w stronę muru. Odbiła się od niego pod ostrym kątem, tak że de Villada musiał błyskawicznie



przeskoczyć na drugą stronę boiska, aby ją dopaść i odbić z powrotem.

Jade patrzyła jak zaczarowana. We wsi przyglądała się rozgrywkom, nieraz na naprawdę wysokim poziomie. Zrozumiała, że ma przed sobą mistrza. Zwinny jak pantera, w każdym skoku i zwrocie łączył grację wytrawnego tancerza z siłą tenisisty najwyższej klasy.

Nagle z dołu dał się słyszeć trzask pękającej wikliny. De Villada zatrzymał się na chwilę, patrząc ze ściągniętymi brwiami na bezużyteczną raketę, po czym odrzucił ją i podjął dalej grę, używając dłoni zamiast rakiety. Ten sposób zwano pelotą *a mano*.

Jade patrzyła oczarowana, uświadamiając sobie coraz dobitniej, że fascynuje ją nie tyle gra, co sam gracz. Jej oczy nie śledziły migającej tam i z powrotem piłki. Wpatrywała się w jego ciało. Mięśnie opalonych ramion i ud napinały się, kiedy rzucał się do piłki lub wyskakiwał w górę z ręką uniesioną nad głową. Taki długi gem dawno wyczerpałby już siły słabszego zawodnika.

Pomału zapominała, gdzie się znajduje. Jej uwagę całkowicie pochłonęła wspiana, wysportowana sylwetka. Słyszała już tylko szuranie jego butów po nawierzchni i regularne postukiwanie piłki. Poczula, że kręci jej się w głowie, wsparła się więc o parapet, aby utrzymać równowagę.

Dotknięcie chłodnego kamienia przywróciło jej poczucie rzeczywistości. Co się z nią działo, na Boga? Najpierw koszmarne, dręczące sny, a teraz to zatracenie. Trzęsa się cała jak w febrze.

Z wysiłkiem wyprostowała się i przeszła do łazienki. Spojrzała w lustro i z trudem rozpoznała własną twarz. Gładką, kremową skórę pokrywały teraz

ceglaste plamy, usta drżały, a oczy gorączkowo błyszcząły...

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała głośno. Zbierało jej się na płacz. Napełniła szybko umywalkę po brzegi i długo" ochlapywała twarz zimną wodą.

Powróciły jego wczorajsze, ostatnie słowa: „Zamierzam usunąć z twojej pamięci wszelką myśl o jakimkolwiek innym mężczyźnie”. Przecież to już się stało, pomyślała z rozpaczą, za sprawą jednego pocałunku. A co by było, gdyby posunął się dalej? Ogarnęło ją przerażenie.

Siedziała już przy śniadaniu, kiedy pojawił się de Villada. Świeżo wykąpany i ubrany w dżinsy i białą koszulę rozpiętą pod szyją. Jade pochyliła głowę, smarując masłem ciepłą bułeczkę z koszyka, podsunętego jej przez uśmiechniętą Marię. Nie chciała zdradzić swoich uczuć.

- Dzień dobry, Jade.

- Dobry - odmruknęła, udając zajęta notatkami.

Siadając naprzeciw niej, dotknął przypadkiem jej nóg. Natychmiast się cofnęła, chowając je pod krzesło.

- Chyba nie pracujesz przy śniadaniu?

Wziął bułkę i pokruszył ją na talerzu. Jade zapatrzyła się na jego silne dłonie i dopiero po chwili zdołała się opamiętać.

- Ach, to tylko pierwsze szkice. Naprawdę zabiorę się do roboty, kiedy wrócę tu z całym sprzętem. Wyruszamy od razu po śniadaniu?

- Nie.

- Ale przecież im szybciej będę miała aparat, szkicownik i tak dalej, tym prędzej zacznę.

- Nie wrócisz do swojego mieszkania.

- Co takiego? - Patrzyła na niego w osłupieniu.
- Przecież muszę zabrać swoje rzeczy.
  - To nie będzie potrzebne. - Sięgnął po dzbanek, nalał sobie kawy, a potem zerknął na jej pustą filiżankę. - Może jeszcze trochę? '
  - Co? Nie, dziękuję. Słuchaj! - Zerwała się na równe nogi, patrząc na niego groźnie. - Może umknęło to twojej uwagi, ale wczoraj dałeś mi tak mało czasu na spakowanie, że mam tylko to na zmianę. - Wskazała na koszulkę w biało-seledynowe paski i zielone dżinsy, które miała na sobie.
  - Czy wiesz, że kiedy się złościś, jesteś jeszcze ładniejsza? - spytał spokojnie, a kiedy zaniemówiła, ciągnął dalej.
  - Nie martw się, o wszystko już zadbałem. Jeden z moich ludzi pojechał tam z samego rana. Kazałem mu wziąć ze sobą córkę Marii, bo pomyślałem, że nie byłoby ci przyjemnie, gdyby jakiś mężczyzna grzebał w twoich... osobistych drobiazgach.
  - Zdumiewa mnie twoja troska o to, co może, lub nie, sprawić mi przyjemność.
  - Dzięki. - Skłonił się z galanterią.
  - A więc kiedy mówiłeś, że nie wyjadę stąd, dopóki nie skończę pracy, rozumiałeś to dosłownie - zaczęła powoli. - Nie ufasz mi.
  - Powiedzmy, że dla ciebie będzie lepiej, jeśli tu zostaniesz.
  - Ale ty nie wiesz, jak ja pracuję. Po zakończeniu wstępnego oglądu zaczynam dobierać tkaniny, tapety i tak dalej. Zwykle robię to w Londynie...
  - Ale to nie jest zwykła sytuacja.
  - Wyjątkowo delikatne określenie. W każdym razie nie wyobrażam sobie, aby tutejszy sklepik dysponował

dostatecznym wyborem towarów, które zaspokoiłyby twoje wymagania - dokończyła złośliwie.

- Na pewno znajdziesz wszystko, czego ci potrzeba, w San Sebastian. Zawiozę cię tam.

- O tak, pewnie pod eskortą. Więzień na przepustce, a kto wie, czy nie przykuty do strażnika.

- Jade, nie prowokuj mnie. Stale nie, nie i nie. Rób po prostu to, o co cię proszę...

- A nic złego mi się nie stanie. - Usiłowała spojrzeć mu w oczy, ale jej wzrok zatrzymał się na szyi, odsłoniętej przez rozpiętą koszulę. - To... to właśnie chciałeś powiedzieć?

- No, nie całkiem - uśmiechnął się krzywo.

Zesztywniała, kiedy wyciągnął do niej ręce i ujął końce czarnej szyfonowej wstążki, którą związała włosy, a potem pociągnął za nie i kasztanowate sploty rozsypały się na jej ramionach, następnie zaś powoli obwiodł kciukiem skraj jej warg.

Z ust wydarł się jej ni to jęk, ni to westchnienie, poczuła bowiem, że jej ciało natychmiast odpowiedziało na tę delikatną pieśczość. Zrozumiała, że czyta z jej twarzy, że wie, jak reaguje to nieposłuszne ciało.

A niech tam, a ja i tak muszę mu się oprzeć, albo...

Cofnęła się gwałtownie w przypiływie zdecydowania.

- Wiesz, Leonie, po prostu gardzę tobą. Tak, tak - potwierdziła na widok jego zmarszczonych brwi. - Nie byłam wystarczająco dobra dla twojego cudownego braciszka, ale dla ciebie jestem w sam raz. Łatwa kobieta i tania rozrywka.

Przypatrywał się jej bez uśmiechu.

- O, właśnie. Sam bym tego lepiej nie ujął. Czy już skończyłaś śniadanie?

- Tak, dziękuję.
- Czy jeździsz konno?
- Słucham? Masz na myśli... na koniu? - Nagła zmiana tematu zbiła ją z tropu.
- A jak inaczej?
- No, byłam na paru niedzielnych przejażdżkach
- przyznała ostrożnie.
- Doskonale - kiwnął głową z zadowoleniem, a potem otaksował jej ubiór. - Jesteś odpowiednio ubrana, a więc ruszamy.
- Teraz?
- Oczywiście.,- Był już przy drzwiach. - Powiedziałaś, że nie możesz wziąć się za pracę, dopóki nie masz niezbędnych pomocy, a poza tym będzie to część twoich wstępnych oględzin. Nasze ziemie rozciągają się aż do granicy śniegu. - Wskazał przez otwarte okno na odległe góry. - A chyba przyznasz, że jako projektantka domu powinnaś poznać otoczenie.
- Tak - odrzekła z namysłem. - A także postarać się dopasować projekt do osobowości właściciela.
- A jaki on jest?
- Pełen pychy, wyniosłości i egocentryzmu, pomyślała sobie, ale nie ośmieliła się tego powiedzieć głośno, widząc jego ironiczne spojrzenie.
- Och, chyba nie znam cię jeszcze wystarczająco dobrze, aby wyrobić sobie zdanie.
- Ale poznasz, i to już niedługo, kdechana Jade
- wymruczał. - No, chodźmy...

Na dziedzińcu stajenny kończył właśnie siodłać karego ogiera i mniejszą od niego kasztanową klacz. Leon podszedł do mężczyzny i zaczął rozmowę. Jade początkowo przypatrywała się im obu, stojąc

nico z tyłu, stopniowo jednak cała jej uwaga skupiła się tylko na Leonie. Patrzyła, jak mówił i śmiał się, uderzając od czasu do czasu pejcem o wysoki but, i znów ogarnął ją lęk i przeczucie czegoś niedobrego.

Oparła się o ścianę, aby się nieco uspokoić. Musiał zauważyć ten ruch kątem oka, bo obrócił się i skinął na nią. Wyprostowała się powoli i ostrożnie, jak gdyby naraz przybyło jej lat, i podeszła do nich.

- Nie wiem, jakie są twoje umiejętności jeździeckie, na wszelki wypadek kazałem więc przygotować Rosę - poklepał klacz, a ona traciła nosem jego rękę. - Jest bardzo uległa, zapewniam cię.

Jade waliło w skroniach tak, że ledwie go słyszała, kiwnęła więc tylko głową w odpowiedzi.

Nie spojrzała ani razu w jego stronę, kiedy dosiadał konia. Ruszyli z głośnym stukotem kopyt o bruk dziedzińca.

Droga była wąska, mogła więc pozostawać w tyle. Usilnie starała się odzyskać równowagę ducha. Ból głowy zelżał, ale nie ustąpił całkowicie. Nie mogła już dłużej sama przed sobą ukrywać przyczyny.

Gięzki przypadek odurzenia zmysłowego - ot, co mi się przydarzyło, pomyślała. Raczej nieciekawie to wygląda. Szkoda, że Elaine tego nie widzi. Wystarczyło spotkać atrakcyjnego - no, zgoda, wyjątkowo atrakcyjnego mężczyznę, abym kompletnie straciła głowę. Och, Jade, jaka jesteś niemądra. I do tego musiał to być właśnie on. Przecież jeśli mu pozwolisz, weźmie cię, jak i kiedy zechce, a potem porzuci dla nowych miłostek...

Droga prowadziła na pastwiska. Leon zwolnił i kiwnął na nią ręką. Kiedy z ociąganiem podjechała bliżej, jego wielki ogier zarżał i niecierpliwie potrząsnął głową.

- Czy ty się dobrze czujesz?
- T-tak, w porządku - odrzekła z wymuszonym uśmiechem. - To tylko... dawno już nie jeździłam konno.

Niespodziewanie nachylił się i chwycił ją za nadgarstek. Pod jego mocnymi palcami puls bił niespokojnie. Wyrwała rękę.

- Czuję się dobrze - powtórzyła, ponagliła konia i odjechała o parę kroków, ale on i tak już wiedział. Zanim zdołała wyzwolić dłoń, zauważyła błysk zrozumienia w jego oczach, chociaż po chwili, kiedy zrównał się z nią, twarz miał już nieprzeniknioną.

Z przeciwka zbliżał się ku nim chłop w drelichu i czarnym berecie, wiodąc za sobą krowę z cielakiem. Kiedy go mijali, Jade uniosła rękę w pozdrowieniu.

- *Egunon.*

Odczuła satysfakcję, kiedy Leon spojrzał na nią ze zdumieniem, zanim sam wypowiedział słowa powitania.

- Nie wiedziałem, że mówisz po baskijsku.
- Pamiętaj, że spędziłam w tej wsi już pięć tygodni.
- Roześmiała się nieco swobodniej. - I po prostu wypadało mi nauczyć się paru słów, ale to same podstawy. No wiesz, takie rzeczy, jak *ez* i *bai*, czyli „tak” i „nie”, i jeszcze „proszę”, to *jest plazer baduzu*, a „dziękuję” to *eskarikasio*. Przepraszam za wymowę. To musi brzmieć straszliwie w twoich uszach.

- Wcale nie. Można by cię wziąć niemal za Baskijkę.
- Niemal, ale nie całkiem. To mi się nigdy nie uda, prawda?

Chciała, żeby to zabrzmiało żartobliwie i sama zdziwiła się, słysząc w swoim głosie żal.

- Obawiam się, że nie.
- Musisz przyznać, że to bardzo trudny język.

- Tak, niektórzy nawet twierdzą, że niemożliwy do nauczenia.

- Ale ja chciałabym, żebyś mnie trochę poduczył.

- Co ją podkusiło, żeby to zaproponować?

- Dobrze. Może na początek... *baita* de Villada.

- *Baita* de Villada - wymówiła starannie. - Co to znaczy?

- To, nad czym masz pracować. Dom de Villady.

—. Aha, a jak nazywają się - spojrzała w kierunku ich jazdy - góry?

- *Mendi*.

- *Mendi*. - Jade zauważyła, że ta niewinna zabawa rozładowała nieco atmosferę. - Daj mi coś trudniejszego.

- Hm, co by ci tu zaproponować? Jak ci się, na przykład, podoba: *Neska polita, ekatzu musu bat*?

- Och, tego nie dam rady powtórzyć. - Zaśmiała się. - Co to w ogóle znaczy?

Zamiast odpowiedzi przyciągnął jej konia za uzdę tak blisko, że ich kolana się zetknęły.

- W wolnym tłumaczeniu - wymruczał - oznacza to „piękna zielonooka dziewczyno, daj mi całusa”.

Mówiąc to, wolną ręką ujął jej twarz i nachylił się nad nią tak nisko, że poczuła ciepło jego oddechu. Potem jego wargi musnęły delikatnie jej usta raz, i jeszcze raz. Odsunął się i spojrzał na nią z zagadkowym uśmiechem, jakby zobaczył ją po raz pierwszy, po czym puścił klacz wolno.

- Widzisz tamten szczyt, tam daleko? - Jego głos drżał trochę, kiedy wskazywał pejczem odległą górę, wyrastającą ponad inne.

- T-tak - wymamrotała Jade niewyraźnie, ponieważ nie zdołała zapanować nad sobą.



- To jest granica ziem de Villadów.
- Naprawdę? - Oczy jej zaokrągliły się ze zdumienia.
- To znaczy, że wszystkie gospodarstwa w dolinie należą do ciebie?

- Tak. Oczywiście prowadzą je dzierżawcy. Większa część wsi również należy do mnie.

A więc to tak, pomyślała. Nic dziwnego, że podejrzewał mnie o niezbyt czyste intencje. Sam, nie bez podstaw, zachowuje się jak feudalny książę - jest przecież panem małego królestwa. Pomimo tej wyniosłości i surowości nie jest jednak zarozumiały. To tylko duma. Oczywiście pewnego dnia będzie chciał zostawić posiadłość najstarszemu synowi, a to oznacza, że założy rodzinę, ożeni się. Jego wybranka będzie na pewno Baskijką.

- Powiedz mi - zapytała - dlaczego dotychczas się nie ożeniłeś?

Wyrwało się jej to mimo woli. Za późno się zreflektowała. Bała się, że spotka się z oburzeniem. On jednak tylko odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- A muszę, Jade? Czy jesteś jedną z tych kobiet, które uważają, że wszyscy mężczyźni powinni nosić kajdany na znak poddaństwa?

- Oczywiście, że nie - odparła z oburzeniem. - Ja tylko... chciałbyś mieć dziedziców, prawda?

- Tak - natychmiast spoważniał. - Masz rację. Do tej pory pochłaniały mnie sprawy rodziny i nie miałem czasu dla siebie, a poza tym...

- Poza tym?

- Dotychczas nie spotkałem odpowiedniej kobiety.

Miała zamiar zbyć żartem jego męską pychę, ale w głębi serca przyznała mu rację. Rzeczywiście, niewiele kobiet nadawałoby się na żonę dla takiego mężczyzny.

Poczuła ukłucie żalu, bo zdała sobie sprawę, że już zawsze, nawet gdy zblaknie wspomnienie tej porannej przejażdżki, nie będzie mogła myśleć o żonie de Villady bez uczucia zazdrości. Posiwiałe włosy będą na pewno wciąż jeszcze gęste i sprężyste, a opalona twarz zachowa wyrazistość rysów. Może jednak miłość złagodzi stanowczy zarys ust i przyda czułości zimnym, granatowoniebieskim oczom - tym oczom, które teraz przypatrywały się jej z tajemniczym, nieodgadnionym wyrazem.

Kiedy odezwał się znowu, gwałtownie podniosła głowę, wyrwana z marzeń.

- Zatrzymamy się tutaj. Chciałbym ci coś pokazać.

Zanim zdołała wykonać jakikolwiek ruch, on już rzucił wodze na kark konia i lekko zeskoczył z siodła. Musiała pozwolić pomóc sobie przy zsiadaniu. Przytrzymał ją chyba odrobinę dłużej niż było to konieczne i przyjrzał się jej bacznie, nim zwolnił uścisk.

Odprowadził konie w cień brzoź i uwiązał do pnia, a potem rozgarnął zwisające gałęzie i ruszył wąską, stromą ścieżką, która pięła się po zboczu. Szedł tak szybko, że ledwie nadążała.

Kiedy wreszcie zrównała się z nim, zdumiała się. Zatrzymał się bowiem przy niskich, drewnianych drzwiach, umieszczonych wprost w ziemi. Spod kamienia wydobył wielki klucz i otworzył drzwi, a kiedy je pchnął, zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie.

Powitała ich głęboka ciemność i chłód. Kiedy zachęcił ją do wejścia, cofnęła się odruchowo.

- O, nie. To zupełnie jak w fantastycznych opowieściach Tolkiena.

- No, nie ma smoka strzegącego skarbu, ale jest coś innego, co na pewno cię zainteresuje.

Z półki tuż za drzwiami zdjął nasmołowaną pochodnię i pudełko zapalek, po czym zapalił ją i ściany jaskini natychmiast ożyły. Obrócił się do niej z błyszczącymi oczami i ujął ją za rękę. Dała się poprowadzić i poszła za nim długim, opadającym w dół korytarzem.

Ich kroki rozbrzmiewały echem, jakby ktoś im towarzyszył. Światło pochodni rzucało dziwaczne cienie na połyskujące od wilgoci ściany. W końcu korytarz rozszerzył się. De Villada uniósł pochodnię nad głową i Jade ujrzała wysoko nad nimi skalne sklepienie.

- Och, Leonie, jakie to piękne - westchnęła.  
- Zupełnie jak gotycka katedra.

On jednak tylko pokręcił głową i wskazał kamienny łuk na wprost nich.

- Popatrz tam.

Przez dłuższy czas nie widziała nic poza nierównościami i szczelinami, ale potem, spośród ruchomych cieni, rzucanych przez migoczący płomień, ze skały wyłonił się on.

Byk grzebał ziemię czarnym kopytem z nisko pochyloną głową. Groźnie zakrzywione rogi wystawił do ataku. Jego ciało było naszkicowane tylko kilkoma zdecydowanymi kreskami, ale wizerunek był tak naturalistyczny, że od zwierzęcia wprost biła fizyczna siła.

Za jej plecami Leon uniósł pochodnię jeszcze wyżej i wtedy zobaczyła inne zwierzęta. Powierzchnię skały pokrywały rysunki bizonów, antylop i dzików, częściowo pokryte farbami w odcieniach brązu, żółci i czerwieni. Zwierzęta umykały w dzikim popłochu przed ludźmi, uzbrojonymi we włócznie i łuki. Myśliwi i ich ofiary...

- No i co sądzisz o mojej jaskiniowej galerii?  
- spytał cicho, ale echo i tak powtórzyło jego głos.

- To wprost... cudowne - wyjąkała, nie odrywając wzroku od malowideł. - Kiedy to zrobiono?

- Jakies dwadzieścia tysięcy lat temu - odrzekł niedbale. - Może nie są tak doskonałe jak w Lascaux czy w Altamirze, ale i tak są ciekawe. Popatrz tutaj.

Przysiadł i przysunął płomień pochodni do jakiegoś znaku, który znajdował się tuż u podstawy ściany. Po chwili wahania Jade przykucnęła obok niego, a kiedy zobaczyła, co wskazywał, nie mogła powstrzymać okrzyku zdumienia. Był to czarny jak smoła odcisk ludzkiej dłoni.

- Lubię sobie wyobrazać - mówił półgłosem - że autor obrazów był tak dumny ze swej pracy, iż chciał ją sygnować i w tym celu utrwalił odcisk swojej ręki.

Ujął ją za przegub i ostrożnie porównał jej dłoń z malowidłem.

- Tak też myślałem - wymruczał. - Pasują do siebie idealnie. Ręce artystów. - Znów obdarzył ją tajemniczym uśmiechem.

Choć malowidło zrobiło na Jade ogromne wrażenie, to jednak nie przedwieczny autor, lecz żywy człowiek obok budził w niej niepokój, jego obecność wyraźnie drażniła jej zmysły. Poruszyła się nerwowo, niechcący dotknęła nogą jego uda i szybko się podniosła.

- Te malowidła są naprawdę wspaniałe - z trudem poruszała wargami - a byk wygląda zupełnie jak te na corridzie, prawda?

- Tak, z tą różnicą, że współczesne byki muszą być bardzo szybkie, nie mają więc takiego masywnego karku, ale i tak nie chciałbym zmierzyć się z nim na arenie.

- Chyba nie walczyłeś nigdy z bykami?

- Dobry Boże, nie. - Roześmiał się. - Chociaż,

kiedy byłem młody, brałem udział razem z kolegami w *encierro* w Pamplonie.

- Chodzi ci o to znane święto? Ludzie uciekają ulicami przed bykami puszczoneymi wolno? - Spojrzała na niego z przerażeniem.

- No, raczej mają nadzieję utrzymać się tuż przed nimi - odrzekł ze skrzywieniem ust.

Zadrzała na wspomnienie scen, które widziała W telewizji - krzyki i wrzaski tłumu gapiów, młodzi chłopcy biegający beztrąsko po wąskich uliczkach, a tuż za nimi, z każdą chwilą coraz bliżej, czarne byki. Wyobraziła sobie wśród nich młodziutkiego Leona de Villadę, jak wodzi rej pomiędzy rówieśnikami i z łobuzerskim błyskiem w oczach obraca się do byków, kusząc je i drażniąc, a potem w ostatniej chwili zgrabnie przeskakuje barykadę...

- Moim zdaniem jest to bardzo głupia zabawa - stwierdziła surowo, aby pokryć wzburzenie.

- Na pewno masz rację. - Uśmiechnął się. - Nawet sobie nie wyobrażasz, Jade, do czego zdolny jest młody chłopak, aby udowodnić swoją męskość. Ale nie martw się, kiedy tylko zrozumiałem - tu jego głos znów przycichł i przeszedł w ów gardłowy pomruk, który tak działał jej na nerwy - że można to zrobić w znacznie przyjemniejszy sposób, natychmiast dałem spokój wyścigom z bykami.

Wcisnął pochodnię w szczelinę za plecami, tak że jego twarz skryła się w cieniu. W półmroku jego sylwetka wydawała się Jade jakby większa i bardziej imponująca. Biła od niej niemal zwierzęca siła.

Spojrzała na niego lękliwie, ale on tylko uśmiechnął się ciepło i całkiem naturalnie, a potem wziął ją za rękę.

- Chciałem ci jeszcze coś pokazać.

Wziął pochodnię i poprowadził ją dalej w głąb jaskini. Znaleźli się w prawie okrągłej pieczarze.

- Tutaj mieszkali twórcy tych malowideł - powiedział. - Archeolodzy odnaleźli wiele ludzkich i zwierzęcych kości. Tam prawdopodobnie znajdowało się ich ognisko. - Wskazał miejsce pośrodku, które wydawało się Jade tylko płytkim wgłębieniem w skale.

- Siadywali pewnie wokół ognia, jedli, rozmawiali, planowali następne polowania, zupełnie jak dzisiejsi ludzie - wyszeptła Jade i oczami wyobraźni ujrzała postacie sprzed tysiącleci.

Natłok wrażeń spowodował, że zakręciło się jej w głowie. Musiała oprzeć się o kamienną ścianę.

- Co z tobą? - Przysunął pochodnię do jej twarzy.

- Nic, wszystko w porządku. Po prostu zawrót głowy i tyle.

Objął ją wolnym ramieniem i nie zważając na słabe protesty pospiesznie wyprowadził z powrotem na światło dzienne.

- Powinnaś uprzedzić mnie, że cierpisz na klaustrofobię - powiedział szorstko, kiedy wdychała głęboko świeże powietrze. - Nie zaciągnąłbym cię wtedy do środka.

- Nie, nie, bardzo się cieszę, że to zrobiłeś, naprawdę. Nigdy jeszcze nie zwiedzałam czegoś podobnego.

Z rozmaitych przeżyć i doznań ostatnich godzin wyłowiła to, które okazało się, jak sobie to nagle uświadomiła, głównym powodem jej niepokoju. Poraziło ją to odkrycie.

Jeszcze dwa dni temu uśmiechała się skrycie z wyższością na widok Dave'a i Elaine. Głuptasy,

myślała o nich z politowaniem, przekonana, że nikt nie zdoła zawładnąć jej sercem.

Minęło zaledwie trzydzieści sześć godzin, a jej pewność legła w gruzach. Leon de Villada zdobył ją bez trudu. Za późno już było na jakikolwiek opór z jej strony. Poddała się bez reszty jego przemożnemu, zgubnemu urokowi.

Po prostu była w nim zakochana.

scandalous

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Daleko z dołu, z zamkowego dziedzińca, dobiegł ją warkot silnika, a potem trzaśnięcie drzwi samochodu. Leon? Serce Jade zabiło gwałtownie. Zerwała się z klęczek i przebiegła po nierównej podłodze strychu, aby wyjrzeć przez maleńkie okienko.

Z wysokości dziedzińca wyglądał jak mikroskopijny kwadrat. Pośrodku stało malutkie jak dziecięca zabawka, ciemnoniebieskie ferrari, a obok - na ten widok serce Jade aż podskoczyło radośnie - stał Leon. Obserwowała, jak zarzucił marynarkę na ramię, otworzył bagażnik i wyjął walizkę, a potem wszedł na schody.

Gdy zniknął jej z pola widzenia, chciała rzucić się biegiem po schodach, przeskakując po kilka stopni, ale na szczęście zdołała się powstrzymać od tak pochopnego uczynku.

Przez kilka pierwszych dni jego nieobecności raz po raz powtarzała sobie, że cieszy się z jego wyjazdu, że robota posuwa się żywiej, kiedy nie rozpraszają jej jego wizyty. Stopniowo jednak dni zaczęły się ciągnąć bez końca i ogarniała ją pomału apatia, która wyraźnie odbierała jej siły do pracy.

Tysiące razy wyrzucała sobie w duchu, że popełniła szaleństwo zakochując się w Leonie de Villada. Przecież początkowo pogardzała nim i nie lubiła go, jak więc w ogóle mogła się zakochać, pytała siebie ze zdumie-



niem. W ciągu dnia szukała ucieczki w pracy i niemal udało się jej wmówić sobie, że nie ma ważniejszych rzeczy niż kolorystyka salonu czy wzór dywanu w pokoju gościnnym. Podczas bezsennych nocy powracała tęsknota i ze skrucą szeptała w ciemność:

- Kocham go.

Była przekonana, że kochała Stephena i że po ich przymusowym rozstaniu nigdy już nikogo nie pokocha. Teraz zrozumiała, że to, co wtedy czuła, było niczym więcej niż gwałtownym, niedojrzałym uczuciem nastolatki. To radość, rozpacz i męka znamionowały prawdziwą miłość.

W pierwszym odruchu chciała uciec, skoro przydarza się okazja. Przypomniała sobie jednak ów ranek, kiedy otrzymał wiadomość z Bilbao. Była w niej mowa o nagłych kłopotach i jego niezbędnej obecności.

- Muszę pojechać na parę dni, żeby uporządkować ten cały bałagan - stwierdził z ponurą miną, a potem dodał, jakby mu nagle przyszło coś do głowy - zobaczymy się po moim powrocie.

Zabrzmiało w tym ostrzeżenie, aby nawet nie myślała o ucieczce. Szybko odkryła, że pragnie zostać i będzie czekać na niego, drżąc z niecierpliwości niemal nie do zniesienia...

Upłynęło dziesięć minut, zanim się pojawił. Usłyszała jego szybkie kroki na schodach i pochyliła się jeszcze niżej nad drewnianą skrzynią. Kiedy ukazał się w drzwiach, stanął i rozglądał się czekając, aż wzrok przywyknie do półmroku.

Na jej twarzy pojawił się nerwowy uśmiech, ale szybko znikł. Leon ją wreszcie spostrzegł, podszedł i stanął nad nią nachmurzony.

- Co ty tu, u diabła, robisz?

- Ja... - Nie mogła wykrztusić ani słowa.
- Maria powiedziała mi, że przesiadujesz tutaj całymimi dniami - ciągnął dalej szorstko.
- Tak, bo...
- Gdybym cię już nie zdążył poznać, Jade - uśmiechnął się przelotnie - mógłbym sobie pomyśleć, że uknułaś plan ucieczki i, na przykład, budujesz skrzydła, aby odfrunąć z blanków wieży.
- Tak jak Ikar? - Odzyskała głos, ale zabrzmiał on niemal obco.
- Dokładnie tak. Oczywiście pamiętasz, co go spotkało? - mówił ironicznym tonem. - Został ukarany za swoje szaleństwo śmiercią.
- No tak, ale to nic w tym rodzaju - zaczęła się usprawiedliwiać nieporadnie, lecz nagle, nieoczekiwanie dla samej siebie, wypaliła:
- Myślałam, że cię nie będzie tylko parę dni.
- Cóż, kiedy tam dotarłem, okazało się, że cała sprawa zabierze więcej czasu, niż oczekiwałem. A dlaczego pytasz? - Popatrzył na nią kpiąco. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że za mną tęskniłaś?
- Odważnie spojrzała mu w oczy, ale szybko odwróciła wzrok w obawie, że domyśli się odpowiedzi.
- Nie, skądże, dlaczego miałabym tęsknić?
- No, mógłbym wymyślić wiele powodów. Mnie na przykład brakowało - zawiesił głos na chwilę i zmierzył ją bacznyim spojrzeniem, aż wzdrgnęła się odruchowo - twojego ciętego jęczyczka.
- Odetchnęła z ulgą i podniosła się znad roboty.
- Otóż przypuszczałam, że mogą tu się poniewierać jakieś sprzęty, które by mi się przydały. Mody się zmieniają - mówiła, jakby wygłaszała wykład - i stare meble utyka się gdzieś po kątach.

- I znalazłaś coś?
- O tak, parę prześlicznych rzeczy. W sąsiednim pomieszczeniu - jej słowa płynęły teraz podejrzenie szybko - stoi ogromny dębowy kredens chyba z końca osiemnastego wieku. Wymaga renowacji, ale nadałby się idealnie do tej pięknej porcelany twojej babki. Poza tym ta skrzynia tutaj i... i cudowny zestaw kłęczników. Nawet nie trzeba im wymieniać obicia, bo szwy...
  - Daruj mi, proszę, szczegóły. Wierzę ci na słowo. A więc, jak rozumiem, twoje przygotowania idą pełną parą?
  - Tak.
  - No cóż, przypuszczam, że nie miałaś nic innego do roboty pod moją nieobecność.
  - Zgadza się. Zrobiłam mnóstwo notatek i szkiców. Mogę ci je pokazać. Na przykład jadalnia - mówiła gdzieś obok niego, najbardziej oficjalnym tonem, na jaki ją było stać. - Na pewno chciałbyś zatrzymać ten wielki herb Basków nad kominkiem... no i, oczywiście, portrety. - Przypomniała sobie przedstawicieli rodu de Villadów, spoglądających na nią uważnie ze złożonych ram. - Ale jeśli pozwolisz, chciałabym zrobić frotaż na ścianach.
    - Frotaż? - Uniósł pytająco jedną brew.
    - No, mówiąc w skrócie, polega to na tym, że wieszka się na ścianie jakiś materiał, na przykład jedwab, nasącza go farbą, a potem przeciera ją na ścianę zwinętą szmatką. To może wydać się dość dziwaczne - dodała, widząc powątpiewanie na jego twarzy - ale efekt jest piękny, bardzo subtelny, naprawdę.
  - Schyliła się i wyjęła z teczki duże, kolorowe zdjęcie.

- To pokój, który robiłam w Londynie. Myślałam, że tutaj najlepsza byłaby blada żółć albo delikatny brzoskwiniowy kolor, ale o... oczywiście - pochylając się nad fotografią otarła się o niego ramieniem i to wytrąciło ją z równowagi - to zależy wyłącznie od ciebie.

- Sama robiłaś ten frotaż?

- Tak, oczywiście - Jade przyszło naraz do głowy, że nikomu nie pozwoli tknąć tego domu, wystrój musi zrobić sama. Ależ to czysta głupota, zreflektowała się zaraz. Kompletne urządzenie zamku zajęłoby niemal całe życie, wiele lat troskliwych zabiegów, a ona przecież musi skończyć pracę jak najszybciej i oddalić się na bezpieczny dystans od posiadłości i właściciela.

- Co zaś do sali balowej...

- Pokażesz mi to na dole. - Rozejrzał się z niesmakiem po zakurzonej strychu. - Wyjdźmy stąd wreszcie.

Podest za drzwiami tonął w promieniach słońca, wpadających przez świetlik w dachu. Ruszyła ku schodom, ale Leon przytrzymał ją za ramię.

- Chwileczkę. Stój spokojnie.

Zatrzymała się z pochyloną głową. Uniósł rękę i palcami musnął jej pierś. Jej ciało zareagowało natychmiast. Zauważyła, że nie uszło to jego uwagi, nie dał jednak po sobie nic poznać.

- Mam - powiedział, a kiedy spojrzała na niego pytająco, dodał:

- Pajęczynę.

Pokazał jej garść szarych, miękkich nici, a potem cisnął je w kąt i uśmiechnął się lekko.

- Uspokój się, Jade. Naprawdę jesteś zbyt nerwowa. Może poczułabyś się lepiej, gdybyś stąd wyjechała.

- O tak, na pewno - przytaknęła z zapałem, który jednak natychmiast ostygł, kiedy usłyszała jego dalsze słowa.

- W takim razie, skoro twierdzisz, że zakończyłaś wstępne prace, jutro pojedziemy do San Sebastian. Zapakuj swoją torbę podróżną, bo będziemy tam przynajmniej przez dwa dni.

- Ależ nie, nie trzeba aż tyle czasu. - Ogarnął ją nagły lęk. - Na pewno mogę to załatwić w jeden dzień. W każdym razie wolałabym jechać sama. Tak mi się lepiej pracuje, a... a poza tym - rozpaczliwie szukała jakiejś wymówki - przeglądanie godzinami próbek szybko by cię znudziło - zaplatała się nieporadnie.

- Z tobą, moja droga Jade - uśmiechnął się do niej jak drapieżnik, który widzi w zasięgu pazurów szczególnie smakowitą zdobycz - nic nie może być nudne, jestem przekonany. Jedziemy razem i wyruszamy o ósmej rano - zakończył zdecydowanie, tonem nie dopuszczającym dalszej dyskusji.

- Co za wspaniała plaża! - Okrzyk Jade przerwał trwające od godziny milczenie. Dojeżdżali właśnie do eleganckich, pełnych zieleni przedmieść San Sebastian.

Leon skierował samochód na pas jezdni biegnący jak najbliższej plaży.

- Ta plaża nazywa się La Concha.

- La Concha - powtórzyła. - Czy to znaczy „muszla” po hiszpańsku?

- Tak. - Całą uwagę skupił na porsche'u, który zahamował zaledwie o metr od nich. Dopiero kiedy go wyminął, dodał:

- To główna plaża. Przychodzi tu większość turystów.

Jade przyjrzała się wytwornym hotelom po lewej stronie ulicy.

- Czy będziemy - głos jej załamał się lekko - nocować w jednym z nich?

- Nie. Zatrzymamy się przy Avenida de Tolosa, w pobliżu plaży Ondaretta.

- Słuchaj, Leonie...

- Tak, Jade? - spytał obojętnym tonem.

- Chodzi mi o hotel. Czy my... to znaczy, czy zamówiłeś oddzielne pokoje?

Poczuła jego wzrok na sobie i cała stanęła w pąsach.

- Jak ty... źle o mnie myślisz. Oczywiście, masz swój własny pokój.

Niemal bezgłośnie odetchnęła z ulgą i odwróciła się do okna, przyglądając się rzędom kolorowych namiotów i parasoli na plaży. A więc pozostało tylko upewnić się, że drzwi mają dobry zamek, aby utrzymać w ryzach jego wybujałe męskie instynkty...

Lecz naraz powróciła, już po raz kolejny, zdradziecka myśl - a gdyby tak spędzić całą noc w ramionach Leona...

Z gniewem oderwała się od tych niebezpiecznych urojeń, które wywoływały niepokój i tęsknotę. Musiała im się oprzeć. Przecież on nawet nie ukrywa, że sprowadził ją tutaj, aby ją uwieść, aby przeżyć przygodę.

Z takim człowiekiem jak Leon nie mogła mieć zresztą nadziei na nic więcej. Pamiętaj, powtarzała sobie, Baskowie żoną się tylko z Baskijkami. A wcześniej czy później on się na pewno ożeni, jak tylko trafi na właściwą kobietę. Dla niego więc ich ewentualny związek nie może być niczym innym, jak tylko przyjemnym, być może, lecz przelotnym romansem.

Dla niej jednak mogło się to skończyć tragicznie. W głębi serca bowiem żywiła przekonanie, że po Leonie nie będzie już istniał dla niej żaden inny mężczyzna...

Spojrzał na zegarek, a potem skrzył na parking.

- Jest jeszcze za wcześnie na obiad, może więc napijemy się czegoś, zanim zaczniemy chodzić po sklepach - odpowiedział na jej pytające spojrzenie.

- Ale ja wołałabym zacząć pracę od razu. - Chciała w ten sposób nadać tej wycieczce przynajmniej pozory podróży w interesach. - Im wcześniej zacznę...

- Tym lepiej - przerwał jej. - Chyba już to gdzieś słyszałem.

Nie marnując dalej słów zacisnął twardą jak stal dłoń na jej nadgarstku i poprowadził ją do jednego z kawiarnianych ogródków. Przesuwając krzesło nogą, ścisnął jej rękę jeszcze raz, co mówiło wyraźnie, że ma go słuchać, chce tego, czy też nie. Usiadła więc posłusznie.

- A zatem czego się napijesz? - spytał, kiedy podszedł do nich kelner. - Białego wina, soku czy kawy?

- Poproszę o sok pomarańczowy - odrzekła chłodno.

Kiedy już postawił, jak zawsze zresztą, na swoim, zaczął zwracać się do niej uspokajającym tonem jak do krnąbrnego dziecka. Pomacała nadgarstek pod obrusem. Albo reagowała teraz inaczej, albo de Villada miał niezwykle mocny chwyt, wyczuła bowiem pod palcami szybko puchnącą obręcz wokół kiści dłoni.

Leon wciąż gawędził z kelnerem. Była to bardzo długa i ożywiona rozmowa, jak na zamówienie dwóch napojów, i Jade miała dość czasu, aby przypatrywać się mu ukradkiem. Wielki parasol nad stolikiem

rzucał na twarz Leona głęboki cień, w którym jego oczy stały się niemal czarne.

Nagle złapała się na tym, że pragnie pieścić tę twarz. Przerażona tym odkryciem, całą uwagę skupiła na dwóch mrówkach, szamoczących się obok jej krzesła z kryształkiem cukru.

- Przepraszam cię za to - usłyszała jego głos i zorientowała się, że kelner wreszcie odszedł z ich zamówieniem - ale Santos pochodzi z naszej wsi i musiałem mu opowiedzieć najnowsze plotki.

- Czy on tu pracuje na stałe? - Popatrzyła w ślad za młodym mężczyzną, który zniknął w drzwiach kawiarni.

- Nie, tylko w sezonie. Przez resztę roku pomaga rodzicom w gospodarstwie, ale to nie przynosi takiego zarobku, a ponieważ chciałby się usamodzielnić, każdego lata przyjeżdża tu, na wybrzeże. Za trzy lata zamierza się ożenić.

- Oczywiście z baskijską dziewczyną - odezwała się kaśliwie!

- Oczywiście.

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy, rozejrzała się więc po zatłoczonej kawiarni. O dwa stoliki dalej popijały kawę dwie kobiety, rozmawiając z ożywieniem. Hiszpanki na pierwszy rzut oka, obie bardzo atrakcyjne i elegancko ubrane. Zauważyła, że jedna z nich patrzyła w ich kierunku, oceniając jej kasztanowate włosy, zwinięte w węzeł na karku i ładną, lecz prostą granatową sukienkę w białe grochy. Brązowe oczy przeniosły się szybko na Leona, ubranego w nieskazitelny, jasnoszary letni garnitur, a kiedy Jade również na niego zerknęła, zauważyła, że on otwarcie odpowiadał za zaczepkę.



Gdy zorientował się, że Jade go obserwuje, oderwał wzrok od tamtej kobiety i zwrócił się do niej z uśmiechem.

- Doprawdy, czyżbyś był taki... próżny? - spytała, nie wiedząc, czy ją to bardziej bawi, czy też drażni.

- Wcale nie - zaprotestował. - Ale jeśli piękna dama zadaje mi pytanie, byłoby niegrzecznie ją zignorować.

- Pytanie?

- Ależ tak. Niekoniecznie słowami, niemniej jednak było to pytanie.

- A jaką dałeś odpowiedź?

- Że w innych okolicznościach byłbym uszczęśliwiony, ale, jak widać - ruchem ręki wskazał na nią - jestem już zajęty.

- Nie chciałabym, aby moja obecność była dla ciebie przeszkodą w korzystaniu z towarzystwa pięknych pań - wypaliła ostro.

- Ale ja nie zamierzam z niego korzystać, moja droga Jade - wymruczał, a ona poczuła, że się czerwieni. - Może i jestem próżny, ale na pewno nie chciwy i jedna kobieta mi wystarcza. W danym momencie oczywiście.

- Oczywiście. - Usiłowała naśladować jego pewny siebie ton, ale łatwość, z jaką wzbudził zainteresowanie tamtej kobiety, przyprawiła ją niemal o atak mdłości. Czyżby to była zazdrość? Tak, nie było wątpliwości. Pomyśleć tylko, jaki smutny los przypadnie jego żonie. Jeżeli każda kobieta w zasięgu wzroku będzie go pożerać oczami, biedaczka nie będzie miała chwili spokoju. On chyba dopiero około osiemdziesiątki dałby się nieco okiełznać.

Na myśl o osiemdziesięcioletnim Leonie nie mogła

się powstrzymać od uśmiechu, ale natychmiast spoważniała, gdy zauważyła, że na nią patrzy.

- Dałbym wiele, żeby poznać twoje myśli - zagadnął.

- Dobry Boże, nie są warte złamanego grosza - posłała uśmiech Santosowi, który postawił przed nią mrożony sok pomarańczowy. Obok Leona na stoliku pojawiła się kawa oraz duży talerz, pełen apetycznie wyglądających placuszków *tapas*, bez których nie mógł się obejść żaden hiszpański poczęstunek.

- Czy wiesz - powiedziała powoli, śledząc krążącego wśród stolików kelnera - że Baskowie mają bardzo charakterystyczny wygląd? Myślę, że umiałabym ich odróżnić wszędzie. Na przykład ty i on - wyglądacie prawie jak rodzeni bracia. Takie same wąskie twarze, długie, lekko zakrzywione nosy i ciemnoniebieskie oczy.

Mówiąc to, śledziła wzrokiem jego rysy, ale kiedy poczuła, że dłonie jej drżą, zacisnęła mocno pięści na kolanach.

- Ty jednak...

- Tak?

- W tobie... - pod hipnotycznym wpływem tych cudownych, a tak zagadkowych oczu słowa przyszły same z siebie, bez udziału woli - w tobie jest znacznie więcej stanowczości, więcej, bo ja wiem, wewnętrznej siły, której brak Santosowi.

- Może to dlatego, że jestem biznesmenem, a Santos rolnikiem - odrzekł, wzruszając ramionami. - Nie sądzę, żebym był od niego w czymkolwiek lepszy. Po prostu piętnaście lat temu nie przeżyłbym dziesięciu minut wśród rekinów finansjery, gdybym sam nie stał się po trosze rekinem, teraz jednak...

Nieoczekiwanie wyciągnął rękę i zanim zdążyła się cofnąć, pogładził zmarszczkę między jej brwiami.

- Odpręż się, Jade - powiedział niskim, gardłowym głosem - i zapomnij o wszystkich troskach. Powiada się u nas, że żyć należy dniem dzisiejszym, bo przecież nie wiadomo, co przyniesie jutro.

Ale ja wiem, co będzie jutro, a jeśli nie jutro, to w najbliższej przyszłości, pomyślała Jade. Nadejdzie dzień, w którym zobaczę cię po raz ostatni. Na tę myśl poczuła chłód koło serca.

Nie dała jednak nic poznać po sobie i ochoczo poczęstowała się *tapas*, a Leon natychmiast ożywił się i zaczął sypać zabawnymi anegdotkami z życia mieszkańców swojej wsi.

Jeżeli zamierzał ją oczarować, to udało mu się to doskonale, ale on przecież potrafiłby zmiękczyć i kamień. Uważaj jednak, Jade, ostrzegał ją wewnętrzny głos, to nie tylko o to chodzi. On przecież ciebie pragnie i zechce uwieść, jeśli tylko zdoła. Tak, ale potrafię mu się oprzeć, tłumaczyła się przed sobą. Zastosuję się do jego rady - będę żyć dniem, a noc to inna sprawa...

W beztróskim nastroju spędzili parę następnych godzin. Odwiedzili najlepsze sklepy San Sebastian, w których Jade próbowała wybrać próbki obić i tapet.

Ślęczała właśnie nad stosem jedwabnych tkanin ściennych, starając się wyobrazić sobie, czy do jadalni lepiej będzie pasowała surówka czy też gładki materiał, kiedy sprzedawca zapytał ją o coś po hiszpańsku. Zazwyczaj w takich wypadkach Leon natychmiast tłumaczył, teraz jednak zawahał się, jakby poczuł się czymś skrępowany. Odezwał się dopiero, kiedy spojrzała na niego pytająco.

- Pytał, czy urządzasz nasz nowy dom. On myśli, że się pobieramy.

- Ach tak, a co mu odpowiedziałeś?

- Nie miałem ochoty wyprowadzać go z błędu - odrzekł oschle.

Odwróciła wzrok i udała, że pogrąża się znów w przeglądaniu wspaniałych jedwabi, kiedy jednak łądziła je dłonią, jej palce lekko drżały.

W końcu tylne siedzenie samochodu zajęły niemal całkowicie pudełka i foldery z próbkami tkanin oraz katalogi tapet.

- Czy już? - spytał Leon.

- Chyba tak - odrzekła, zaciskając wargi. - Oczywiście będę musiała tu przyjechać przynajmniej jeszcze raz.

- Jasne, ale na razie, dzięki Bogu - przewrócił oczami - naprawdę skończyłaś?

- Tak. Jeśli chcesz, możemy już jechać do hotelu.

Nie mogła już dłużej odwlekać tego momentu, i poza tym bolały ją nogi, sukienka kleiła się do poczonego ciała i na domiar złego odezwał się ząb, który przez ostatnie dni ją poboлеwał.

- No, nie tak od razu - powiedział Leon. - Teraz ja chcę zrobić jeszcze jeden zakup.

Tym razem poszli piechotą, szybko pustoszącym w porze sjeśty chodnikiem, i zatrzymali się przed wąskim oknem wystawowym, w którym pozornie niedbale udrapowana, samotna suknia roztaczała aureę kosztownej elegancji. Jakaś kobieta właśnie zamykała drzwi, lecz Leon zdecydowanie przytrzymał szklaną tafelę i po krótkiej wymianie zdań zostali z szacunkiem wprowadzeni do wnętrza.

- Po co tu przyszedliśmy? - wyszeptwała Jade, roz-

glądając się wokół z nachmurzonym czołem. - Przecież tu nie znajdę nic do wyposażenia wnętrza.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odrzekł gładko.

- Zamierzam kupić ci suknię.

- Co? - Oczy Jade aż pociemniały z gniewu.

- W żadnym wypadku! Nie pozwolę na to, słyszysz?

- krzyknęła głośno, nie dbając, że słyszy ją również troje ekspedientów, oczekujących w szeregu na ich wybór.

- Uspokój się i rób, co ci powiem. - Na jego policzkach pojawił się cień rumieńca. - Chcę ci kupić sukienkę, ponieważ...

- Dobrze wiem, o co ci chodzi - wybuchnęła.

- Tobie się wydaje, że kupisz mnie za strój od Balenciagi czy... czy... - spostrzegła dyskretną etykietkę

- od Lapidusa. Już pierwszego dnia oskarżyłeś mnie, że naciagam mężczyzn na pieniądze, a więc pozwól, że ci powiem...

- Nie, pozwól, że to ja ci powiem - przerwał jej cicho, ale stanowczo. - W sobotę we wsi będzie wesele córki mojego zarządcy, a ponieważ będziesz na nim w moim towarzystwie, chcę, żebyś miała na sobie coś, co ja kupiłem.

- Z przyjemnością pójde na wesele - powiedziała nieco spokojniej - ale przecież mam dwie sukienki, z których każda...

- Bardzo mi przykro. Powtarzam jeszcze raz - chcę, abyś włożyła suknię, którą ja wybiorę. Ostatecznie, pozwoliłem ci dzisiaj decydować o wyposażeniu mojego domu, a więc byłoby w porządku, gdybym teraz ja wybrał sukienkę dla ciebie.

Jade odetchnęła głęboko. To nie były porównywalne sprawy i on o tym dobrze wiedział. Zdołała się jednak

jakoś powstrzymać i nie wdawać się z nim w dalszą kłótnię.

Poczuła zniechęcenie. To wszystko było na nic. Każdy spór z tym człowiekiem, czy to sprzeczka, czy wściekła awantura, kończył się zawsze tak samo. On grał tu rolę matadora, a ona byka, a jak wiadomo, cokolwiek by się stało z człowiekiem, to zwierzę zawsze jest wynoszone z areny.

- To jak, koniec kłótni, co? - Najwyraźniej wyczuł jej osłabienie. - Po prostu bądź grzeczną dziewczynką.

Unióś rękę i dotknął palcami jej warg, a ta drobna, lecz intymna pieszczota sprawiła, że poddała mu się całkowicie. Przez chwilę zamajaczył jej niesamowity obraz: ujrzała siebie u jego stóp, a on unosił szpadę, aby przeszyć jej serce.

- W porządku, wygrałeś - wymamrotała, myśląc z rozpaczą: gdyby choć raz poprosił.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wprost przed nimi wyrósł jeden z eleganckich hoteli. Może właśnie tu, pomyślała, ale nie - Leon przejechał obok, a potem skręcił w boczną uliczkę wysadzaną drzewami, następnie zaś skierował samochód na żwirowany podjazd i zatrzymał się w końcu przed dużą willą.

- To nie jest hotel. - Jade spojrzała na niego oskarżycielsko.

- Masz rację. To mój dom.

- Ale przecież mówiłeś... - Opanował ją dawny, zwielokrotniony teraz lęk.

- Nic nie mówiłem. Jeżeli sama uznałaś, że będziemy mieszkać w hotelu, to cóż... - wzruszył ramionami.

- No tak, ale...

Przechylił się nad nią i otworzył drzwi po jej stronie, a potem wysiadł. Przez chwilę Jade siedziała bez ruchu. Powinna była uprzeć się i prosić, nie, żądać, aby ją natychmiast zawiózł do hotelu. Już słyszała, jak mówi do niego: „Słuchaj, Leonie, ja już dalej w to nie gram”, ale kiedy otworzył drzwi szerzej, spojrzała na niego tylko raz i pospiesznie wy dostała się na zewnątrz.

- No widzisz, jakie to proste. - Orzekł, a potem dodał, widząc jej zdziwione oczy:

- Zaniechać oporu, poddać się, oczywiście z wdzię-

kiem, mojej woli. W ten sposób życie staje się znacznie przyjemniejsze.

- Doprawdy? - spytała ponuro.

- Ależ tak, a za każdym razem - ściszył głos do intymnego szeptu - poddanie się będzie coraz łatwiejsze:

- Czyżby? - Usiłowała go zmrozić wzrokiem, ale on już zajął się bagażami, przyjrzała się więc willi, oceniając ją z zawodowym znanstwem. Brzoskwińskie ściany współgrały z ciemnobrązowymi oknami i drzwiami, a żelazne balkoniki i dach z dużym okapem, pokryty pomarańczową dachówką, dopełniały uroczej całości. Choć Jade była zachwycona, nie dała tego poznać po sobie.

- Bardzo miły jest ten twój domek - odezwała się sztywno.

- Ojciec zbudował go dla mojej matki, aby mogła mieszkać nad morzem, ale to się na wiele nie zdało, bo przeżyła tu tylko dwa lata.

- Masz niewesołe wspomnienia z tego domu - powiedziała łagodnie.

Spojrzał na nią, jakby go coś zaskoczyła, a potem zatrzasnął pokrywę bagażnika.

- Tak, rzeczywiście - odrzekł obojętnym tonem.

- Pamiętam mamę zawsze chorą, leżącą na sofie, i ojca... - no, możesz sobie wyobrazić, w jakim był stanie. Uwielbiał ją, i ja też.

Mówił tak cicho, że ledwie rozumiała słowa, ale na widok bólu w jego oczach odwróciła głowę, aby go nie urazić.

Nad gankiem kute w żelazie litery układały się w nazwę domu.

- Willa Serafina - odczytała powoli.



- To imię mojej matki.
- Ach tak.- Jade przypomniała sobie po chwili namysłu. - Tak samo miała na imię dziewczyna, o której tragicznym losie mi opowiadałeś.
- Masz rację - przytaknął, biorąc ich bagaże. - To była moja prapra... i jeszcze parę razy prababka.
- Skierował się w stronę domu.

Drzwi otworzyła im schludna pokojówka. Leon wprowadził Jade do chłodnego holu, wyłożonego turkusowozieloną terakotą, a stąd przeszli na małe, cieniste patio, ozdobione fontanną.

Inna pokojówka postawiła przed nimi tacę z herbatą i kruchymi ciasteczkami z cukrem, a potem zniknęła.

- Masz jakiś problem? - Jego głos wyrwał ją z zamyślenia, zarumieniła się więc, jakby była winna.
- Nic takiego, właściwie... - na jej twarzy pojawił się smutek - ot, wspominałam, jak wygląda wytworne życie od drugiej strony.

Uniósł brew pytająco, ciągnęła więc dalej.

- Kiedy byłam dzieckiem, widziałam wiele srebrnych tac, pełnych porcelany z Limoges, takich jak ta tutaj, które moja matka lub inna służąca musiały wnieść natychmiast, kiedy tylko ich pan zechciał się pokazać w pobliżu.

- No cóż, przynajmniej nauczyłaś się rozpoznawać porcelanę z Limoges.

- Tak, nauczyłam się - odrzekła chłodno - i wielu innych użytecznych rzeczy również.

Siedzieli naprzeciw siebie w bambusowych fotelach, rozmawiając i popijając herbatę przy wtórze szmeru fontanny. Dla postronnego obserwatora mogli się wydawać uosobieniem spokoju i pogody ducha,

pomyślała Jade, a przecież w rzeczywistości była skrepowana sytuacją i oszołomiona jego obecnością.

Być może Leon nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie miał przecież żadnego powodu do zdenerwowania. Kiedy spojrzała na niego, siedział wychylony do przodu i uporczywie wpatrywał się w filiżankę, nie wyglądało jednak na to, aby miał zamiar przerwać przedłużającą się ciszę. Jade zdecydowała się zrobić to sama.

- Czy portret tej starszej Serafiny jest gdzieś na zamku? - spytała.

- Tak, w jadalni, zaraz na prawo od drzwi. Pokażę ci go, kiedy wrócimy.

- Nie trzeba, już sobie przypominam.

Rzeczywiście, ten obraz zaciekał ją najbardziej ze wszystkich, jakie znajdowały się na zamku. Widniała na nim kobieta w średnim wieku, otoczona gromadką dzieci. Na twarzy miała typowy uśmiech osoby pozującej, jednak w granatowych oczach kryło się coś...

- Ona nigdy nie zapomniała tego młodego Anglika - oświadczyła porywczo.

- Tak sądzisz?

- Jestem pewna. Przypatrz się kiedyś uważnie portretowi. Zobaczysz, że jest w niej smutek - zagryzła wargę, szukając odpowiedniego słowa - jakaś spokojna rezygnacja. Przypuszczam, że całe życie kryła w głębi serca wspomnienie o nim.

- Droga Jade! - Roześmiał się głośno. - Nie wyobrażałem sobie, że jesteś tak romantyczna.

- O, jestem przekonana, że od tamtej chwili była wzorową baskijską żoną - odrzekła, urażona jego protekcyjnym tonem. - Ci okropni bracia na pewno zadbali, aby biedna dziewczyna już nigdy nie zboczyła z raz wytyczonej drogi.

- Czyżbyś zapomniała, Jade - przypomniał cicho - że ta „biedna dziewczyna” i jej czterej „okropni bracia” to wszystko moi przodkowie?

- Oczywiście, że nie, ale to nie znaczy, że...

Przerwała gwałtownie, jakby jej zabrakło tchu. Czyżby chciał jej coś przez to powiedzieć, a może nawet ostrzec? Czy Leon, tak jak ci czterej mężczyźni przed dwustu laty, byłby gotów na wszystko dla uratowania honoru rodziny? Na pewno tak. Postanowił doprowadzić do tego, żeby zapomniała o Roddym. Ba, miał zamiar posunąć się dalej. Powiedział przecież: „Chcę usunąć z twojej pamięci wszelką myśl o jakimkolwiek innym mężczyźnie”. Czy mogła żywić nadzieję, że zdoła mu się oprzeć?

Mimo narastającego lęku i bezradności, odezwało się wrodzone poczucie godności. Gdzie się podziała twoja duma, Jade? Czy pozwolisz, żeby ten człowiek cię wykorzystał, wiedząc, że gdy się nasyci, odrzuci cię bez litości, choć jesteś mu oddana ciałem i duszą? Nie, wciąż jeszcze potrafię mu się przeciwstawić, pomyślała, po prostu muszę.

- Dziękuję za herbatę - powiedziała wstając i sięgając po torebkę - ale teraz chciałabym pójść do mojego pokoju.

- Trochę za późno na sjęstę - odrzekł, rzuciwszy okiem na zegarek.

- Wiem, ale naprawdę muszę chwilę odpocząć.

Na zmęczenie złożyło się wiele przyczyn. Nie przespana noc, długa jazda, włóczęga po sklepach, długotrwałe napięcie. Czuła się wprost wyczerpana.

Sądziła, że nie zgodzi się, ale on natychmiast podniósł się z miejsca. Z takim samym wdziękiem robi wszystko, przyszło jej na myśl, gra w pelotę, jeździ konno,

kocha... Przeżona samą sobą, siłą powstrzymała się od dalszych porównań i weszła za nim do domu, a potem na górę po schodach.

Leon sprawdził, czyjej rzeczy zostały rozpakowane i powieszono w garderobie, a potem zwrócił się do niej:

- Zadzwoń, jeżeli będziesz czegoś potrzebowała.

Kolacja będzie wcześniej, o ósmej.

- Czy będziemy... tutaj jedli?

- Oczywiście. Dzisiaj już nie musimy wychodzić.

- Szkoda, bo myślałam, że może przejdziemy się po mieście. W nocy zapewne wygląda pięknie.

- Rzeczywiście - odrzekł niezobowiązująco, a ona po prostu nie śmiała powiedzieć, że nie zamierza spędzić całej nocy z nim pod jednym dachem.

Kiedy drzwi cicho się zamknęły, puściła oparcie krzesła, które cały czas kurczowo ścisnęła, i ostrożnie przejrzała zawartość torebki w poszukiwaniu tabletek przeciwbólowych. Potem chwiejnie podeszła do nocnego stolika, na którym pokojówka postawiła karafkę z wodą i przysiadła na brzegu łóżka.

Za minutkę, mówiła sobie, łyknę jeszcze dwie pigułki i wezmę chłodny prysznic, ale teraz...

- Obudź się, Jade.

Stanowcza ręka potrząsała jej ramieniem. Obróciła się. Z trudem otworzyła oczy i w półmroku zobaczyła Leona, który siedział obok niej na łóżku.

- Czego chcesz? - wydusiła z trudem, bo całą szczękę miała zdrętwiała.

- Czas na kolację. Spałaś do wpół do jedenastej. Kiedy *señora* Andinua przyniosła ci herbatę, nie mogła się ciebie dobudzić, ale teraz - zanim zdołała się odsunąć, wsunął rękę pod jej talię i posadził ją

tak, że ich twarze dzieliły zaledwie centymetry - musisz wstać, chyba że chcesz, abym cię wziął właśnie teraz.

- Nie, Leonie, nie - cofnęła się. - Nic nie rozumiesz. Moje...

- Nie - przerwał jej w pół słowa. - To ty nic nie rozumiesz albo ciągle jeszcze udajesz, że nie rozumiesz. Jestem zdecydowany kochać się z tobą. Pragnę cię. Wiesz dobrze, oboje wiemy od pierwszego spotkania, że to nieuniknione, a więc przestań udawać przede mną skromniśnię.

Musiała jakoś mu wytłumaczyć, że nie może, nie wolno jej, bo jeśli tak...

- Zrozum - mówiła z trudem. - Bola mnie zęby. Nie kłamię - wyszeptała. Fala bólu objęła całą głowę. - Proszę cię - broniła się, kiedy usiłował przyciągnąć ją do siebie - nie.

- Proszę cię, Leonie, tak - przedrzeźniał ją, a potem chwycił brutalnie pod brodę.

Ból stał się nie do wytrzymania, nie zdołała powstrzymać okrzyku.

- Co do...?

Leon wyprostował się, nie rozluźniając jednak uścisku. Drugą ręką sięgnął do wyłącznika nocnej lampki i różowy blask rozjaśnił pokój. Ujął ją znowu pod brodę, tym razem jednak bardzo delikatnie i obrócił jej twarz do światła.

- Policzek masz rozpalony - przymrużył oczy, przyglądając się jej dokładnie - cały opuchnięty i pulsujący. Na litość boską, od kiedy to masz?

- Zęby mnie bolały od paru dni, ale Maria dała mi proszki i myślałam, że to wystarczy - odparła zgnębionym głosem.

- Och, Jade, Jade. - Był tak zmartwiony, że chętnie by się do niego uśmiechnęła, gdyby mogła.

- To na pewno-tylko stara plomba.

- Bardzo cię boli? - spytał cicho.

Chciała odrzec, że to nic, że zaraz weźmie pigułkę i będzie po wszystkim, ale na widok nowego wyrazu jego ciemnych oczu, sama nie wiedząc czemu wyszeptała:

- Tak.

Wargi jej zadrżały, a kiedy uniosła rękę do ust, targnął nią potężny spazm szlochu, którego nie była w stanie opanować. W końcu rozplakała się na dobre. Łzy rozładowały napięcie, w którym żyła od tylu dni.

Postanowiła za wszelką ceną opanować się, kiedy jednak usiłowała zasłonić twarz drugą ręką, poczuła, że obejmuje ją i i tuli do piersi. Wydało się jej nawet, choć nie była pewna, że całuje jej splątane włosy, szepcząc coś czule i uspokajająco.

W końcu szloch ustał. Chlipnęła jeszcze parę razy, ale już mogła się wyprostować.

- Prze... przepraszam - wyjąkała urywanym głosem.

- Za co? Zaręczam ci, że ja na twoim miejscu obudziłbym wszystkich dookoła. Jade, dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

- Bałam się, że będziesz się na mnie gniewał, albo że pomyślisz... - urwała.

- Że kłamiesz? - dokończył. - I tak pomyślałem, prawda?

Pogładził ją po głowie, a ten czuły gest wywołał nowe łzy. Zerwał się więc na równe nogi. Usłyszała, jak biegł, po czym nastąpiła krótka, urywana, jednostronna rozmowa - najprawdopodobniej mówił przez telefon. Po dwóch minutach wrócił szybko na górę.

- Ubieraj się - postawił ją na podłodze, ale musiała się go przytrzymać, gdyż ból odezwał się znowu.

- Dokąd jedziemy?

- Do dentysty, a gdzie by?

- Nie - jęknęła. - Chcę się położyć.

- Tak, moja najśłodsza. Nałożę ci tylko coś ciepłego.

- Zarzucił jej na ramiona kaszmirowy żakiet. Kiedy znalazła się w samochodzie, spojrzała na oświetloną tarczę zegara. Była jedenasta.

- Dentysta nas nie przyjmie - wymamrotała, na wół odretwiąła z bólu i zmęczenia.

- Przyjmie, przyjmie. - Twarz Leona rozjaśnił uśmiech. - Telmo to mój szkolny kolega. Upredziłem go już telefonicznie.

Telmo, któremu elegancka jedwabna piżama wystawała spod garnituru, przywitał ich na progu gabinetu. Kiedy zobaczyła jego długą twarz, orli nos i ciemnoniebieskie oczy, pomyślała, że świat jest pełen Basków, i była to jej ostatnia w miarę logiczna myśl.

Kiedy opadła na fotel, obaj mężczyźni szybko wymienili parę zdań nad jej głową, a potem Leon zwrócił się do drzwi wyjściowych.

- Proszę... - Chwyliła go za rękę i skrzywiła usta do płaczu.

- Czy mogę zostać? - spytał Leon.

Dentysta powiódł po nich wzrokiem, uśmiechnął się szeroko i zapytał o coś Leona, na co nie otrzymał odpowiedzi, a potem odwrócił się i sięgnął po metalową sondę...

Kiedy Leon zajechał przed willę, Jade sięgnęła do klamki, ale on ją powstrzymał.

- Nie, nie możesz chodzić po tym zastrzyku.

Obiegł samochód dookoła i zanim-zdołała otworzyć zdrewniałe usta, wyłuskał ją z fotela i wziął na ręce.

Kiedy posadził ją na skraju łóżka, zaczęła kiwać się tam i z powrotem, ale gdy sięgnął do suwaka od sukienki, sprzeciwiła się gniewnym pomrukiem.

- Oj, Jade, nie wygłupiaj się. Nie jesteś pierwszą kobietą, którą rozbieram, a jeśli już o tym mowa...  
- po twarzy przemknął mu cień uśmiechu - właśnie to planowałem na dzisiejszy wieczór, choć może nie dokładnie w takich okolicznościach.

Próbowała uśmiechnąć się w odpowiedzi, a on dorzucił zdawkowym tonem, nie przerywając pracy nad zdejmowaniem sukienki:

- Telmo powiedział, że to nie wrzód, ale ostra infekcja zęba i zatok.

Po dwóch minutach znalazła się już bezpiecznie w łóżku. Podał jej szklankę wody, a potem wydzielił dwie pigułki antybiotyku przepisane przez lekarza. Biorąc je, zauważyła na jego dłoni kilka równoległych, białych zadrapań. Z jednego z nich sączyła się jeszcze krew.

- O Boże! - przeraziła się. - Czy to ja zrobiłam?  
Strasznie cię przepraszam.

- Nie ma za co - skrzywił się. - Cieszę się, że mogłem ci pomóc, a teraz idź spać.

Położyła się posłusznie, a on podciągnął jej koc pod brodę.

- Pamiętaj, zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Będę w sąsiednim pokoju.

- Nic mi nie będzie. Dobranoc, Leonie, i... dziękuję.

Nie wyszedł jednak od razu, lecz stanął z ręką na przełączniku i spoglądał na nią w zamyśleniu. Kiedy



jednak zauważył, że Jade patrzy na niego, natychmiast przybrał nieco zasmuconą minę.

- Widzisz - powiedział - miałem zamiar kochać się z tobą namiętnie, a zamiast tego, proszę, układam cię do snu, jakbyś była dzieckiem.

Nachylił się i w delikatnej pieszczocie musnął wargami jej czoło.

- Dobranoc, Jade.

W pokoju zapadła ciemność.

scandalous

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jade poprawiła szminką zarys warg, a potem krytycznie przyjrzała się swemu odbiciu. Kremowa cera przybrała lekko złotawy odcień, a oczy błyszczały tak mocno, że wystarczył lekki makijaż do ich podkreślenia. Delikatny owal twarzy podkreślały lśniące włosy o kasztanowym odcieniu.

Chciała się już odwrócić od lustra, ale pod wpływem impulsu zatrzymała się w pół obrotu. Tak nie może być, to zbyt widoczne, pomyślała z rozpaczą. Spróbowała ułożyć twarz w maskę bez wyrazu, ale roziskrzone oczy i miękkie, uległe usta nie były posłuszne. Zrezygnowała więc i poszła do sypialni.

Sukienka leżała na łóżku. Narzuciła ją na siebie i obciągnęła, czując, jak chłodny materiał spływa po rozgrzanej skórze. Zapięła suwak i z satysfakcją przejrzała się w dużym lustrze.

Wybór okazał się trafny. Zielonó-biała sukienka o prostym kroju podkreślała szczupłą figurę i pasowała do jej urody. Leon tylko raz rzucił na nią okiem w sklepie i uparł się, że nie wezmą żadnej innej.

Drobne zakładki stanika uwydatniały krągły zarys jej piersi, prosty, owalny dekolt wydobywał kuszący zarys ramion i szyi, a lekko obniżona talia i powiewna spódnica uwidaczniały kształt bioder i zgrabnych nóg. No cóż, oczywiście miał rację...

Wsuwała właśnie stopy w białe pantofle na wysokich obcasach, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Zanim zdążyła odpowiedzieć, do pokoju wszedł Leon.

Jade stanęła jak wryta. Ubrany był jak do ślubu. Miał na sobie srebrzystoszary garnitur, białą jedwabną koszulę i jasnoszary krawat. Nienagannie skrojone ubranie podkreślało wspaniałą sylwetkę, a biel koszuli uwydatniała ostre rysy.

- No, i jak ci się podobam?

Uśmiechnął się do niej łobuzersko i dopiero wtedy zorientowała się, że gapi się na niego z otwartymi ustami.

- Wyglądasz wspaniale - wybąkała i pośpiesznie odwróciła głowę.

- Oczywiście większość gości będzie w tradycyjnych strojach, przypuszczałem jednak, że wolałabyś mnie w bardziej cywilizowanym opakowaniu.

- Dziękuję - wyszeptała i dodała wstydliwie, wciąż nie patrząc na niego:

- Naprawdę prezentujesz się bardzo dobrze.

- Dziękuję - skłonił głowę z wdziękiem. - A ty...

Zanim zdążyła się poruszyć, położył jej ręce na ramionach i obrócił twarzą do siebie. Przyglądał się jej bardzo uważnie.

- Jak się ma twój ząb? Lepiej?

- Tak. - Ostrożnie pomacała językiem to niebezpieczne miejsce. - Od wczoraj już mnie nie boli.

- To bardzo dobrze. - Kiwnął głową z zadowoleniem. - Zdumiewające, co potrafią zdziałać antybiotyki. I cóż, widzisz sama, że miałem rację w sprawie tej sukienki. Przyznasz chyba, że mam doskonały gust, co? - Uśmiechnął się kątem ust. - Wyglądasz w niej jak syrena wynurzająca się z fal.

Czując narastające napięcie, Jade umknęła wzrokiem przed jego wymownym spojrzeniem.

- Włożę kapelusz i już jestem gotowa. - Mówiąc to, podeszła do łóżka, na którym leżało okrągłe pudełko w srebrne pasy.

To był znowu ten sam dawny Leon, czarujący, spokojny i bardzo niebezpieczny. Przez parę ostatnich dni, które spędzili w willi, a potem tu, na zamku, zachowywał się zupełnie inaczej - był chłodny, uprzedzająco grzeczny, jakby obcy. Cały czas spędzał w biurze, pojawiając się tylko na posiłki. Wreszcie zrozumiała, że unikał jej celowo.

Być może, kiedy zastanowił się spokojnie, postanowił, że mimo wszystko nie warto podejmować z nią romansu. Zaczęła nawet podejrzewać, że marzy o tym, aby skończyła robotę i wyjechała.

Skończyła i wyjechała... Te słowa ugodziły ją boleśnie, ale zabrała się za rozpakowywanie kapelusza.

To było jeszcze jedno jego zwycięstwo. Ona wybrała mały, zgrabny kapelusik z wąskim rondkiem, on jednak zdecydował się na duży, słomkowy kapelusz, który kierowniczką sklepu na poczekaniu owinęła długą, tiulową szarfą w morskim kolorze, a potem zręcznie zawiązała z tyłu wielką kokardę, pozostawiając wolne końce.

Czując na sobie jego spojrzenie, wcisnęła kapelusz na głowę i chwyciła białą skórzaną torebkę.

- W porządku, jestem gotowa.

- Chwileczkę. - Zatrzymał ją, a potem poprawił kapelusz tak, żeby ocieniał oczy. Znaleźli się tak blisko siebie, że owionął ją aromat drzewa sandałowego.

- Możemy już iść? - spytała.  
- Jeszcze tylko jeden drobiazg. - Wyjął z kieszeni marynarki mały pakuneczek. - Otwórz to.

Wewnątrz znajdowała się buteleczka perfum le Dix.

- Och - otworzyła usta ze zdumienia - a ja używam tylko...

- Wody kolońskiej - wpadł jej w słowo. - Wiem, ale dziś spróbujesz tego zapachu.

Nie było czasu na dyskusję, wzięła więc posłusznie flakonik i poperfumowała się odrobinę za uszami. Kiedy zamierzała odstawić buteleczkę na toaletkę, Leon wydał okrzyk niesmaku.

- Dlaczego te Angielki w ogóle nie wiedzą, jak używać perfum?

- Oczywiście wiemy... - zaczęła z oburzeniem.

Zdjął zakrętkę i poperfumował jej szyję oraz odsłonięty dekolt.

- Ostatecznie - powiedział cicho, zbliżając twarz - dla kogo kobieta się perfumuje, jeśli nie dla swego ukochanego?

Natychmiast wyczuła, że powróciła znana atmosfera niepokoju i napięcia, tym razem jednak wydawała się obejmować ich oboje.

Leon poperfumował jej nadgarstki i ramiona, potem zaś podciągnął nogawki i przysiadł u jej stóp, aby skropić łydki. Pokój wypełnił się ciężkim, zmysłowym zapachem.

Spojrzała na niego z góry. Wciąż siedział na podłodze, marszcząc brwi z namysłem. Niespodziewanie dla samej siebie wyciągnęła rękę i dotknęła na moment gęstych, sprężystych włosów.

Podniósł gwałtownie głowę i spojrzeli sobie prosto w oczy, pierwszy raz od owej nocy w San Sebastian.

Żar, który tlił się przez ostatnie dni, wybuchł płomieniem. Odczytała to wyraźnie z jego twarzy.

Bardzo wolno podniósł się, zakręcił flakon i ostrożnie odstawił na toaletkę. Cały czas nie spuszczał z niej wzroku.

Spodziewała się, że chwyci ją w ramiona, on jednak tylko ujął w obie dłonie jej rękę, tę, którą go pogładziła, obrócił i musnął wargami przegub. Ta delikatna pieśczoła sprawiła, że przez jej ciało przebiegł dreszcz rozkoszy. Oddychała z trudem, serce było nieprzytomnie.

Całując jej dłoń mruzczał coś do siebie.

- Czy to następna lekcja baskijskiego? - Słyszała swój głos jakby z oddali.

Uśmiechnął się, zanim powtórzył głośniej:

- *Aski dakik bizitzen badakik.*

- Co to znaczy? - zapytała niemal z lękiem.

- To znaczy, moja najśłodsza... - wypuścił jej rękę, która opadła bezwładnie i podniósł na nią oczy - liczy się tylko to, że dziś jest nasz dzień... i nasza noc - dodał bardzo cicho.

Jade poddała się ogromnej, obezwładniającej fali miłości. Nie mogła wymówić słowa, patrzyła tylko na niego szeroko otwartymi oczami, a jej wargi drżały.

- Jade - odezwał się gardłowym głosem i uniósł rękę, jakby chciał ją objąć, ale tylko odsunął mankiet koszuli, aby spojrzeć na zegarek.

- Chyba pora już iść, bo mała Merche znajdzie się w kościele przed nami.

Mówił niemal zwykłym tonem. Odwrócił się jednak gwałtownie, jakby obawiał się raz jeszcze spojrzeć na nią, i pierwszy zszedł schodami.

Jade stanęła nieśmiało z boku. Tłum gości przyglądał się, jak uśmiechnięci państwo młodzi po pełnej powagi ceremonii zaślubin pozowali do fotografii na stopniach kościółka. Panna młoda, cała w bieli, miała nie więcej niż dziewiętnaście lat. Nie dano jej żadnej szansy, aby postąpiła jak Serafina, pomyślała Jade z ironią.

Pan młody, zamożny, stateczny wieśniak, czuł się niezręcznie w ślubnym garniturze. Większość zgromadzonych była, jak to zapowiedział Leon, w tradycyjnych strojach baskijskich. Strój kobiet składał się z czerwonej spódnicy, białej halki i bluzki oraz czarnego, wyszywanego bolerka, mężczyźni natomiast nosili białe spodnie i koszule, przewiązane w pasie szkarłatną szarfą, i czarne kurtki.

- I jak ci się podobało?

Leon pojawił się obok niej pierwszy raz od chwili, gdy znaleźli się przy drzwiach kościoła. Powiedział wówczas:

- Niestety, będę musiał cię tutaj zostawić. W kościele kobiety zajmują ławy na dole, a mężczyźni skupiają się na górze. Może dlatego, że bliżej nieba, a może - uśmiechnął się kątem ust - by odsunąć od nas, słabych śmiertelników, pokusę, na czas, gdy nasze myśli winniśmy skupić na sprawach wyższych.

Słyszac go teraz, obróciła się do niego z rozjaśnioną twarzą.

- O tak, to była piękna uroczystość. Co prawda nie zrozumiałam ani słowa, no, ale przecież ślub to ślub.

- Hm, a ja mógłbym przysiąc, że te zielone oczy zwilgotniały, a nawet uroniły łezkę.

A więc obserwował ją aż tak uważnie?

- Wcalenie - odrzekła. - Po prostu coś mi wpadło do oka. Ostatecznie, dlaczego miałabym się rozczulać?

Mówiłam ci już, że nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić za męża.

Zabrzmiało to zbyt dobitnie, ale on zdawał się tego nie słyszeć.

- Tak, rzeczywiście - odpowiedział spokojnie.

Stoły weselne rozstawiono na placu, udekorowanym na tę okazję flagami i kolorowymi lampionami. Leon podsunął jej krzesło i już sam zamierzał usiąść, kiedy ktoś go zawołał po imieniu.

Odwrócili się oboje i Jade ujrzała elegancko ubraną kobietę w średnim wieku.

- O, *dona Juana*. - Leon uprzejmie skłonił głowę, a potem zerknął na Jade i dodał po angielsku:

- Co za niespodzianka. Sądziłem, że pani jeszcze jest w Szwajcarii.

Odpowiedziała w swoim rodzinnym języku - Jade była przekonana, że z rozmysłem - a kiedy upomniał ją z naciskiem:

- *Dona Juano*, mój gość nie zna baskijskiego - kobieta lekko zmarszczyła nos, jakby poczuła niemiły zapach.

- Pozwoli pani - ciągnął dalej Leon - że przedstawię pannę Jade Lorrimer. Jade, to *dona Juana Alkarta*.

- Miło mi panią poznać. - Jade została zaszczycona chłodnym skinieniem głowy i lekkim dotykiem wiotkiej, odzianej w szarą, zamszową rękawiczkę dłoni.

- A jak się miewa mała Victoria? - zapytał Leon.

- Mała Victoria? - Jej dźwięczny śmiech działał na Jade drażniąco. - Ma już osiemnaście lat. Pojechałam do Szwajcarii odebrać ją ze szkoły, którą właśnie ukończyła.

- Mój Boże! - Starął się śmiechem pokryć zdziwien-



nie. - Rzeczywiście, nie było mnie długo, ale przecież pamiętam ją chyba jako dziesięciolatkę.

- No nie, teraz jest już całkiem dorosła. Zresztą, zobacz sam. - Odwróciła się i zawołała:

- Victoria!

Nie był to zbyt głośny okrzyk, ale dziewczyna w białej, płóciennej sukience natychmiast odłączyła się od grupy młodzieży i podeszła do nich.

- Wołałaś mnie, mamó? - Miała cichy, melodyjny głos.

- Tak dziecinko. Pamiętasz Leona, prawda?

- Ależ oczywiście. Jak się masz, Leonie?

Ujął podaną mu rękę, ale jej nie uściśnął, lecz podniósł do ust. W ułamku sekundy Jade przypomniała sobie scenę z przedpołudnia i chłód zakradł się do jej serca.

Jak on to ujął? „Dotychczas nie spotkałem właściwej kobiety”. Jade wiele razy powtarzała sobie potem, że tylko wyjątkowa kobieta może zostać żoną Leona de Villady, i proszę - oto ona. Jej niewątpliwą urodę podnosiło niezwykle połączenie złotorudych włosów, smagłej cery i rzadko tu spotykanych brązowych oczu. Drobna i szczupła figura świetnie prezentowała się w prostej sukience. Uroczą dziewczyną, niewątpliwie posłuszną i uległą, a przy tym promieniejącą świeżością i młodością. Jade poczuła się przy niej stara i brzydka.

Tak, miała wszystkie zalety, których mężczyzna taki jak Leon mógł wymagać od żony - a ponadto była Baskijką.

Odeszli nieco na bok, rozmawiając i śmiejąc się jak starzy przyjaciele. Jade oderwała od nich oczy i wtedy spostrzegła, że *dona* Juana przypatruje się jej nawet nie udając życzliwości.

- Jak się pani podoba moja córka, panno Lorrimer?
- spytała.
- Jest prześliczna - odrzekła Jade z prostotą.
- To prawda, a poza tym starannie wychowana i wykształcona.
- Czy pani... mieszka we wsi?
- Tak, w tym dużym domu za placem. - Jade przypomniała sobie dom, który pierwszego dnia widziała z okien samochodu. - Należał do mego zmarłego męża. On był lekarzem.
- Ach tak? - odrzekła Jade uprzejmie, nie bardzo orientując się, do czego zmierza ta rozmowa.
- Mój ojciec był rolnikiem, jednym z dzierżawców ojca pana de Villady, wychodząc za Antona poprawiłam więc moją pozycję społeczną. Po jego śmierci poświęciłam się całkowicie Victorii, aby ułatwić jej korzystne małżeństwo.

Podtekst był wyraźny. Nie martw się, *doha* Juano, pomyślała Jade, ja nie zniweczę twoich planów. Jeszcze raz popatrzyła na Leona i żywiotowo śmiejącą się dziewczynę. On chyba jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że to już nie dziecko, a młoda kobieta, ale to kwestia niedalekiej przyszłości. Przyjdzie wtedy do ciebie, *doña* Juano, prosić o rękę twojej córki...

Leon pojawił się u jej boku, kiedy goście zaczęli siadać do stołów. Victoria i jej matka oddaliły się, przywołane przez jakieś starsze małżeństwo.

Uczta trwała długo, wśród radosnego gwaru i śmiechu. Jade czuła się jak intruz. Oczywiście zawsze była obca, co Leon dobitnie dał jej do zrozumienia już przy pierwszym spotkaniu. Dopiero jednak dzisiaj zrozumiała, co to naprawdę oznacza.

Wszyscy, za wyjątkiem *dona* Juany, byli dla niej

bardzo mili. Uśmiechali się i zagadywali, starając się wciągnąć ją w rozmowę. Odpowiadała uśmiechem. Im dłużej jednak się uśmiechała, tym większą odczuwała pustkę i przygnębienie.

Kiedy rozpoczęły się toasty, Leon starał się jak mógł tłumaczyć dowcipy, lecz jego przyciszony głos zniknął w huraganach śmiechu i hałasie.

Mężczyźni zaczęli przekazywać sobie z rąk do rąk wielki, pękaty gaşior wina z długą szyjką. Gdy przyszła jego kolej, Leon zarzucił go sobie na ramię, po czym przy wtórze gardłowych okrzyków bezbłędnie skierował cienki strumyk płynu prosto do gardła. Obrócił się potem do niej z rozjaśnionym wzrokiem, a wtedy zauważyła, że mała kropelka czerwonego wina spadła mu na koszulę.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak kompletnie osamotniona. Leon był wśród swoich. Tu wyrósł i tu się wychował i dlatego mógł być swobodny i szczęśliwy. Ona była obca. Poczucie wyobcowania wzrastało z każdą chwilą.

Gdy zapadł zmrok i zapaliły się lampiony, odsunięto stoły na bok, aby zrobić miejsce do tańca. Przy pierwszych dźwiękach muzyki Leon wyciągnął do niej rękę. Jade zauważyła jednak, że tancerze ustawiali się już w dwa koła, jedno złożone z mężczyzn, a drugie z kobiet, a zatem będą to miejscowe tańce, w których z oczywistych powodów nie mogła brać udziału.

- Nie, Leonie. - Skuliła się na krześle. - Tańcz sam, a ja...ja popatrzę.

- Bawisz się dobrze?- Spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami.

- Tak, oczywiście. - Zdobyła się nawet na coś w rodzaju uśmiechu.

- To dobrze - powiedział, choć nie wyglądał na przekonanego. - Chciałbym, żebyś czuła się dziś szczęśliwa, Jade, bardzo szczęśliwa, a więc wstawaj.

Niechętnie dała się zaprowadzić do kręgu, ale kiedy muzyka odezwała się znowu, zaczęła tańczyć wykorzystując umiejętności wyniesione ze szkoły tańca i naśladować pozostałe kobiety. Dzięki temu nie popełniła większego błędu. Muzyka na chwilę ucichła. Myślała, że to koniec, ale stojący przed nią młodzieniec skłonił się nisko i porwał ją w ramiona.

Taniec trwał. Jade przechodziła z rąk jednego partnera do drugiego. Jej ponury nastrój nieco się poprawił. Trudno było się oprzeć radości i beztrójce tych ludzi. Nagle ujrzała w oddali tańczących razem Leona i Victorię.

Dziewczyna ponad ramieniem Leona przesłała jej olśniewający uśmiech. Jade ogarnęła zazdrość, ale odpowiedziała uśmiechem. To urocza dziewczyna, naturalna i nie zepsuta. Prawdopodobnie nic nie wie o planach swojej matki. O tak, byłaby dla niego idealną żoną. Życzę wam obojgu, tobie i Leonowi, dużo szczęścia, pomyślała w przypływie wielkoduszności.

Kiedy orkiestra przestała grać, Leon stanął przed nią, ale na dźwięk nowej melodii zrobił zmartwioną minę.

- Przepraszam, moja najśłodsza. Zatańczymy razem później, bo to jest *aurresku* - wyjaśnił, a widząc, że nie rozumie, dodał:

- Taniec z szablami, tylko dla mężczyzn.

Kobiety już usuwały się na bok. Zanim Jade dołączyła do nich, Leon zdjął krawat i marynarkę.

- Popilnuj tego, proszę - powiedział, rozpinając koszulę pod szyją.

Pozostali mężczyźni zrobili mu miejsce w dużym kole. Ktoś podał mu czerwoną szarfę, którą owiązał się w pasie, ktoś inny wręczył szablę i kij. Zaległa cisza, a potem zaczęła rozbrzmiewać niepokojąca muzyka. Tancerze krążyli najpierw powoli, uderzając do taktu kijami o szablę, a potem coraz szybciej i szybciej, wyskakując co chwila w powietrze jak akrobaci.

Jade ani na chwilę nie spuszczała z oczu Leona. Obserwowała, jak ze zmarszczonym czołem, w skupieniu wsłuchiwał się w rytm muzyki. Biła od niego ogromna witalność. Zatracał się w szalonym rytmie. W końcu, przy ogłuszającym *crescendo*, wyskoczył wysoko w górę, śmigając szablą nad głową, i głośno się roześmiał. Uosabiał w tym momencie radość życia i pewność siebie.

Buchnęły oklaski. Jade przyłączyła się do nich z entuzjazmem. Nagle Leon pojawił się przed nią, z rozwichrzonymi włosami i roziskrzonymi oczyma. W rękę wciąż jeszcze trzymał szablę, ale odrzucił ją w stronę rosnącego obok płatanu. Wbiła się w ziemię, migocząc odbitym światłem. Odgarnął włosy, które mu spadły na czoło, i uśmiechnął się do niej szeroko.

- Nieźle, co?

Była oczarowana i podminowana, mogła więc tylko wpatrywać się w niego. Orkiestra znowu zagrała. Tym razem był to powolny walc.

Leon skłonił się przepisowo.

- Nareszcie nasza kolej.

Uśmiechnął się, poprowadził ją na środek placu i objął ramieniem.

Krążyli wkoło, potrąceni raz po raz przez inne pary, ale ona nawet tego nie zauważała. Wszystkie jej

zmysły sygnalizowały jego bliskość. Jedną ręką objął ją w talii, drugą zaś trzymał jej dłoń w taki sposób, że musiała przysuwać się do niego, aż wreszcie oparła głowę na jego ramieniu. Wirując w tańcu zbliżyli się do skraju placu.

- Chodź - wyszeptał. - Już czas na nas.

- Tak, ale... ale to niegrzecznie wychodzić wcześniej niż państwo młodzi - wyjąkała.

- Może nie zauważyłaś - powiedział z uśmiechem - ale Merche i Pio wymknęli się już dobrą chwilę temu. Tej nocy będą się cieszyć czymś więcej niż tylko tańcem.

- Ale... ale oni to co innego - sięgnęła po inny argument.

- Czy na pewno, kochanie, tak bardzo różnią się od nas?

Tak, i ty dobrze o tym wiesz, chciała głośno zakrzyknąć. Oni są małżeństwem, a my nigdy nim nie będziemy! Zaraz jednak zreflektowała się. Kocha Leona i nie powinna zmarnować szansy na krótką chwilę uniesienia. Będzie przynajmniej miała co wspominać przez następne, smutne lata bez niego.

- Nie, nie bardzo - szepnęła tak cicho, że musiał nachylić się nisko.

- A więc idziemy - zdecydował i wziął ją za rękę.

Droga prowadząca do zamku tonęła w ciemności. Jade potknęła się parę razy, objął ją więc mocno i poprowadził stromą, krętą uliczką. Odgłosy śmiechu i muzyki słabły, aż wreszcie rozplynęły się w ciszy.

Na dziedzińcu Leon zatrzymał się i popatrzył jej prosto w oczy z ogromną czułością. Przyszło jej na myśl, że to tylko złudzenie. Chyba tylko ona, ta

urocza, młoda dziewczyna, zdoła kiedyś rozchmurzyć jego twarz i przywołać na wargi uśmiech radości... ale, Victorio, pomyślała bez cienia złośliwości, choć on będzie twój przez pięćdziesiąt następnych lat, tej nocy jest mój.

- Jade - szepnął Leon i objął ją mocniej, gdy wtem drzwi wejściowe rozwarły się i stanęła w nich Maria. Na ich widok wybuchnęła potokiem baskijskich słów, czepiając się ramienia Leona, ale on przerwał jej po chwili i zwrócił się do Jade z poirytowanym wyrazem twarzy.

- Diego upadł i zrobił sobie krzywdę.

- Coś podobnego! - Jade była wstrząśnięta, zdążyła bowiem serdecznie polubić męża Marii, sympatycznego olbrzyma, który traktował ją, jakby była jego własną córką.

- Ale przecież on też był na weselu?

- Tak - powiedział Leon gniewnie. - I jak zawsze dotarł do domu nie na własnych nogach, pijany jak bela.

- Ach tak.

- No a potem spadł ze schodów, nie po raz pierwszy zresztą.

- Ale nie...? - Jade pobladła.

- Zabił się? - Roześmiał się bezlitośnie. - Nie tak łatwo skrócić kark, ale jest bardzo potłuczony i Maria niepokoi się o niego. Obiecałem jej, że zawiozę go do najbliższego lekarza.

Zapłakana gospodyni przycisnęła dłoń do ust, a wtedy Jade, wiedzona odruchem, objęła ją ramieniem i ucałowała w pomarszczony policzek.

Leon powiedział coś i Maria skierowała się do domu, on zaś ujął dłoń Jade i podniósł ją do ust.

- Moja... - zaczął i nagle urwał, jakby zmienił zamiar. - To nie potrwa długo - zapewnił.

Palcem obwiodł zarys jej warg i ten prosty, ale pełen erotyzmu gest sprawił, że serce jej zadrżało.

Naraz poczuła się straszliwie zagubiona, tak że kiedy szepnął ochryple: „Czekaj na mnie”, kiwnęła bezradnie głową i stała bez ruchu, podczas gdy on oddalał się w stronę starej stajni, przerobionej na garaż.

scandalous



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kiedy Jade znalazła się w pobliżu swego pokoju, usłyszała warkot odjeżdżającego ferrari. Wyrzała przez okno na korytarzu i zobaczyła tylne światła samochodu, które zniknęły właśnie pomiędzy zabudowaniami, aby w chwilę potem ukazać się ponownie na drodze, oddalając się coraz bardziej.

Patrzyła, aż czerwone punkciki rozplynęły się całkiem w ciemności, a potem weszła do pokoju i przysiadła na poduszce we wnęcie okiennej. Wsparła brodę na splecionych dłoniach i zapatrzyła się w odległą panoramę gór. Światło księżyca kładło się na górskich szczytach bladą poświatą.

Nie zdawała sobie sprawy, ile czasu minęło. Kiedy się podniosła, była przemarznięta do szpiku kości. Pomyślała, że warto by wziąć gorący prysznic, ale zatrzymała się w drodze do łazienki, bo usłyszała, że otworzyły się drzwi wejściowe. Z holu dobiegły ją głosy mężczyzny i kobiety. To na pewno Leon, który wrócił i zdaje Marii relację.

Wtem rozległy się kroki na schodach. Jade zbladła i wstrzymała oddech, tknięta przecuciem.

- Jade! - odezwał się głos. Stała bez ruchu, patrząc, jak porusza się klamka i... ależ to niemożliwe, nieprawdopodobne!

- Roddy!

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Wydało się jej, że wróciła zapomniana przeszłość.

- Roddy! - wykrzyknęła ponownie. - Co się z tobą...?

Podbiegł szybko do niej i chwycił ją za ramię.

- Posłuchaj, Jade...

- Ale... nie powinienes...

- Posłuchaj, Jade - powtórzył z naciskiem. - Mam mało czasu. Leon może wrócić w każdej chwili.

W tej samej chwili Jade dostrzegła przez okno światła samochodu, który piął się na wzgórze, a parę minut później oboje usłyszeli, jak auto wjeżdża na dziedziniec.

Widząc niemal szaleństwo w jego twarzy, wzięła go za rękę.

- Roddy, co się stało?

Trzasnęły frontowe drzwi.

- Nie, nic, wszystko w porządku, ale błagam cię, nie sprzeciwiaj się, cokolwiek zrobię.

- No, nie wiem... - zaczęła niepewnie, ale widząc, że w oczach ma rozpacz, dokończyła:

- Dobrze, zgadzam się.

- Dzięki, Jade. Jesteś cudowna.

Na korytarzu rozległy się kroki, zmierzające do jej pokoju. Roddy wyczekał na odpowiedni moment i nagle zamknął ją w namiętym uścisku, przechylając gwałtownie do tyłu. Była tak zaskoczona, że nie zdążyła go odepchnąć, kiedy przyciskał mocno usta do jej warg.

Trwało to jednak tylko moment. Już w następnej chwili został od niej oderwany tak brutalnie, że aż zatoczyła się, nie mogąc złapać tchu. Leon szarpnął Roddy'ego za ramię z twarzą nabrzmiałą wściekłością, drugą ręką zaś zamierzył się na niego.

Nie, tak nie można, przemknęło jej przez myśl, jest wyższy i znacznie silniejszy od Roddy'ego, a więc na pewno... Nie zważając na własne bezpieczeństwo, rzuciła się między braci i pochwyciła zaciśniętą pięść Leona w swoje dłonie.

- Nie, Leonie - zabrzmiało to jak, szloch. - Nie rób mu krzywdy.

Przez chwilę stali oboje nieruchomo twarzą w twarz. Leon strząsnął jej rękę i warknął coś do Roddy'ego. Chłopak pokornie wyszedł z pokoju, rzuciwszy tylko przelotne spojrzenie w stronę Jade.

- Z tobą porozmawiam za chwilę - głos Leona zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie. Obrócił się na pięcie i zatrzasnął drzwi za sobą.

Jade miała nogi jak z waty. Opadła na łóżko. O Boże, co za koszmarne powtórka tamtego przedpołudnia. Co on teraz zamierza zrobić z Roddym i z nią? Dlaczego Roddy porwał się na takie szaleństwo? Po co tak rozwścieczył brata? Wyglądało to tak, jakby go umyślnie prowokował.

Leon miał rację - Roddy rzeczywiście był nieodpowiedzialny. Będzie teraz musiała się jakoś usprawiedliwić. Może wybaczyłyby jej, gdyby powiedziała, że Roddy chciał po prostu zażartować, ale w ten sposób złamałaby słowo dane Roddy'emu. Tak, ale...

Znowu usłyszała kroki. To Leon wracał, aby się z nią rozprawić. Z szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w drzwi pokoju, a gdy się otworzyły, odruchowo zerwała się na równe nogi i oparła o ścianę.

Leon wszedł i zamknął drzwi. Był bardzo blady, usta zmieniły się w wąską kreskę.

- Co z Roddym? - wyszeptwała.

- Jest w drodze do Madrytu.

- Och, dzięki Bogu - odetchnęła z ulgą. - Słuchaj, Leonie, nie wiem, co...

- Wraca tam, żeby spakować swoje rzeczy. W poniedziałek rano wyjeżdża do Buenos Aires.

- Ach nie, przecież on tego nie chce, dobrze o tym wiesz. Jak mogłeś? - Łzy nabiegły jej do oczu.

- Zwyczajnie. Ostrzegłem go i wiedział, jaka go czeka kara, jeśli nie posłucha.

- Ostrzegłeś? - Patrzyła na niego, nic nie pojmując.

- Z pewnością pamiętasz, najśłodsza. - Jego oczy przyszpilały ją do ściany. - Uprzedziłem go, żeby trzymał się od ciebie z daleka.

- Rozumiem.

Pochyliła głowę, aby nie mógł zobaczyć wyrazu bólu na jej twarzy. A więc nic się nie zmieniło - wciąż nie była odpowiednią kobietą dla Roddy'ego, za to znakomicie nadawała się na bohaterkę krótkiego romansu.

- To doprawdy ironia losu - powiedział, nie ruszając się od drzwi. - Zaczynałem już - zawiesił głos, aż uniosła głowę, ale z jego twarzy nie można było niczego wyczytać - ci ufać, ale ty zdradziłaś się sama, jakbym zastawił na ciebie pułapkę. Po prostu nie mogłaś wytrzymać, prawda?

Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, przeszedł szybko przez pokój, chwycił ją pod brodę i podniósł jej głowę do góry.

- Nie mogłaś? - powtórzył z hamowaną wściekłością. Zachowywał się w sposób nienaturalny, jak gdyby z trudem powstrzymywał odrazę.

- Nie... nie rozumiem cię - wyszeptała łamiącym się głosem.

- A to takie proste. Musiałem na pewien czas

wyjechać, ale nadarzył się Rodrigo, więc ty dałaś upust chuci...

Wszystko, co usłyszała dotychczas, było niczym w porównaniu z tymi słowami, raniącymi jej dumę do żywego.

- Ach ty... - wyprostowała się gwałtownie. - Jak śmiesz?

Podniosła rękę i wymierzyła policzek. Uderzenie było silne i tak niespodziewane, że Leon na moment stracił równowagę i zatoczył się.

Natychmiast jednak stanął pewnie i kiedy Jade opuściła bezwładnie rękę i wpatrywała się przerażona w purpurowy ślad na policzku, rzucił zduszone przekleństwo i chwycił ją za ramiona, przyciągając do siebie.

- Nie, nie, Leonie!

Szamotała się jak oszalała, ale to na nic się nie zdało. Poderwał ją w powietrze i wydawało się, że zamierza rzucić na łóżko.

- Nie, nie możesz tego zrobić! - Trzęsła się tak, że słowa z trudem wydobywały się z gardła. - Nie tak, z nienawiścią.

- Nienawiścią? - Jego chrapliwy śmiech rozbrzmiał echem. - Skarż mnie Bóg, jeżeli cię nienawidzę.

- Co... co to ma znaczyć? - Rozwarła oczy szeroko.

- To znaczy, że cię kocham, do jasnej cholery!

- Och, Leonie - cicho westchnęła. To gwałtowne, gniewne wyznanie przepełniło czarę gorzkości. Usta skrzywiły się do płaczu, a piekące łzy błysnęły w oczach.

- Kochanie moje, nie patrz tak na mnie.

Jakimś cudem z twarzy Leona zniknęła złość. Objął ją, przytulił i pocałował delikatnie. Pod czarodziejskim

dotknięciem jego ciepłych, czułych warg ustąpiło napięcie. Otoczyła go ramionami i przymknęła oczy.

Otworzyła je dopiero wtedy, gdy rozluźnił uścisk i odsunął ją na odległość ramienia. Przez chwilę, która zdawała się trwać wiecznie, wpatrywali się w siebie bez słów, jak gdyby chcieli przeniknąć do głębi.

A potem, a może - któż to wie - w tej samej chwili, wyciągnęli do siebie ręce, choć kto zrobił to pierwszy, Jade nigdy nie była pewna i usta Leona dotknęły jej twarzy. Gorące wargi całowały czoło, powieki, szyję, a ona przytrzymywała jego głowę, przyciągając go jak najbliżej.

Wkrótce jednak pocałunki, choćby najbardziej namiętne, przestały im wystarczać. Niecierpliwe dłonie zaczęły na oślep zdzierać odzież.

Czuła, że nie jest w stanie ustać dłużej, że omdlewa w jego ramionach, aż wreszcie oboje osunęli się na kolana. Tylko przez chwilę wyczuła, że jakby się zawahał.

- Jade? - wyszeptał ochryple, ale mruknęła coś uspokajająco. Porwał ich szalony wir ekstazy...

Leon uniósł się na łokciu i spojrzał na nią z wyrzutem.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - zapytał ostro.

- Czego nie powiedziałam? - wyszeptęła.

- Dobrze wiesz, czego. Przecież w ten sposób nie można się kochać pierwszy raz. - Łagodnie pogładził ją po boku. - Na pewno zrobiłem ci krzywdę.

- Och nie, naprawdę - zaprzeczyła i chwyciwszy jego dłoń przycisnęła ją do ust.

- Nic mnie nie bolało... no, prawie nic - poprawiała się, widząc w jego oczach niedowierzanie.

Rozejrzał się dookoła, jakby po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajdują.

- I do tego tu, na dywanie, jak jakiś niecierpliwy, niezdarny szczeniak...

Przerwał, potrząsnął głową, a potem wstał, pomagając jej się podnieść. Kiedy stali, trzymając się za ręce, uśmiechnął się do niej tak, że jej serce przepełniło szczęście.

- Dziękuję ci, Jade.

- Za co? - spytała cicho, wciąż jeszcze zawstydzona nowym wyrazem jego oczu.

- Za ciebie - odrzekł z prostotą. - Dla mnie to zaszczyt być twoim pierwszym mężczyzną, ale teraz...

- podniósł swoją koszulę i narzucił jej na ramiona

- po tym nieudanym wstępie chciałbym ci pokazać, jakie to może być naprawdę wspaniałe.

Porwał ją na ręce, przeniósł korytarzem do swojej sypialni i delikatnie położył na łóżku.

Kiedy tak przypatrywał się jej, zawstydziła się swojej nagości i chciała okryć się koszulą, ale przytrzymał jej ręce.

- Nie krępuj się mnie, maleńka - powiedział cicho.

- Już otrzymałem od ciebie więcej niż jakikolwiek inny mężczyzna, ale pragnę wszystkiego i dlatego między nami nie ma miejsca na wstyd.

Próbowała się uśmiechnąć, ale naraz wstrząsnął nią silny dreszcz.

- Och, tobie jest zimno, ale kąpiel cię. rozgrzeje i złagodzi ból, jaki ci zadałem.

Narzucił czarny szlafrok i wyszedł do łazienki, skąd po chwili dobiegł ją szum wody. Czuła się ociężała i pobolewało ją całe ciało. Po paru minutach wrócił i przeniósł ją na rękach do pokoju kąpielowego, który wzbudził kiedyś jej zachwyt.

- Czy wiesz, Jade - wymruczał, kiedy postawił ją na podłodze - że od dnia, kiedy tu przyjechałaś, każdej nocy marzyłem o tobie.

Zdjął jej koszulę i delikatnie opuścił do wanny. Leżała na płask, z głową opartą o krawędź i spod półprzymkniętych powiek przyglądała się, jak zdjął szlafrok i obrócił się do niej przodem. Tyle razy wyobrażała sobie to potężne ciało o ciemnej, gładkiej skórze, a oto prawdziwy Leon wchodził właśnie do wanny i wyciągał do niej ręce.

Ułożył ją obok siebie i wskazał okno.

- Patrz.

Z tego miejsca nie było widać doliny, jedynie odległy, jakby wycięty z czarnego papieru i przyproszony srebrem zarys gór i wysoko na niebie księżyc w pełni.

Jade zwróciła twarz do Leona, oczarowana pięknem tej panoramy.

- To cudowne.

Jego oczy, niezwykle błyszczące w księżycowym świetle, powoli przesunęły się po jej twarzy, ramionach i rozsypanych włosach, aż do krągłych piersi.

- Tak, cudowne - odrzekł, ale tak cicho, że ledwie go usłyszała.

Podniósł rękę i lekko przesunął palcami po jednej z piersi. Poczwała, że wzbiera w niej pożądanie. Leon nachylił się i zaczął ustami zbierać ściekającą z piersi Jade wodę, kropla po kropli, aż do bólu.

Nie odrywając ust ani na chwilę, uniósł ją następnie tak, że wynurzyła się częściowo. Powoli powędrował dalej, nie omijając ani skrawka jej ciała. Za każdym razem, gdy wydawało się jej, że już nie wytrzyma dłużej, słodka udręka rozpoczynała się na nowo.



Czuła, że zaraz stanie się coś strasznego, że całe ciało, ogarnięte namiętnością, rozpadnie się na atomy, gdy wtem Leon podniósł głowę, ogarnął spojrzeniem jej rozpaloną twarz i pozwolił jej znów zanurzyć się w wodzie.

Kiedy przyłgnęła do niego, pocałunkiem uciszył jej nieskładny pomruk.

- Cśś, kochanie. Cała noc przed nami - szepnął i kołysząc ją w ramionach, delikatnie gładził jej włosy, aż łomoczące serce wróciło do normalnego rytmu.

Dopiero kiedy uspokoiła się, wszystko zaczęło się od nowa. Trwało to godzinami, a może całą wieczność? Pieszczoty Leona doprowadzały ją do szaleństwa.

Czując, że dłużej nie znieśie tych wymyślnych tortur, próbowała go odepchnąć.

- To nieuczciwe - wymamrotała niewyraźnie.

- Jak to nieuczciwe? - uniósł głowę znad jej piersi.

- Zabijasz mnie. - Wsparła się dłońmi o jego pierś, ale chwycił ją za ręce i podniósł je nad głowę.

- Doprawdy? - Oczy miał atramentowoczarne.

- Dobrze wiesz, że tak,, do diabła. - Nieomal rozplakała się ze wstydu za własne ciało, które tak bezwolnie pozwalało igrać ze sobą. - A ty... ty nic nie czujesz.

- Tak myślisz?

Uśmiechnął się, uwolnił jej ręce i przewrócił się na plecy.

- No, dobrze - powiedział - teraz twoja kolej.

- Ale ja nie...

Zakłopotana Jade chciała wycofać się, ale było już za późno. Rozłożył ręce gestem poddania i zachęcił ją:

- Zemścij się.

Nie miała wyjścia. Z wahaniem wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła gładkiej, opalanej skóry na jego ramionach, Z początku zachowywała się nieporadnie i wstydliwie, wiedząc, że obserwuje ją spod przy-mkniętych powiek. Stopniowo jednak to ciepłe, promieniujące życiem ciało zafascynowało ją tak, że przestała zwracać uwagę na cokolwiek innego.

Przesuwając palce wśród kędzierzawych włosów na jego piersi natknęła się na małe, płaskie sutki i zdumiała się ich reakcją na jej delikatne dotknięcie.

Ośmielona ręka powędrowała dalej, odkrywając wciąż nowe zakątki tego tak innego od jej własnego ciała, twardego i umięśnionego.

Dotarła wreszcie do ostatniej bariery, a wtedy Leon mruknął coś niezrozumiale i przyciągnawszy ją gwałtownie do siebie, obrócił się, aż woda bryznęła na wszystkie strony. Tym razem jednak był niezmiernie delikatny. Jade przyjęła go jak pustynny kwiat, który otwiera się na powitanie deszczu.

- Och, Jade - wyszeptał gardłowo, tuląc usta do jej szyi. Przechyliła głowę i lekko chwyciła w zęby jego ucho.

- Nie, nie... Och! - Stęzał cały. Przez chwilę Jade zawisała na krawędzi, jak gdyby między życiem a śmiercią, a potem runęła w dół, w czarną nicość...

Kiedy wychynęła z powrotem na świat, była jak odrodzona, ale inna - i nigdy już nip nie miało być takie samo. /

Leon podniósł głowę i spojrzeli sobie w oczy. Nie byli w stanie wydobyć z siebie ani słowa. W końcu Leon uśmiechnął się nieśmiało i coś wyszeptał.

- Znów lekcja baskijskiego? Co to znaczy?

- To znaczy, najmilejsza, że kocham cię aż do bólu.

Otarł palcem łzę, która potoczyła się po jej policzku, i wstał, podnosząc ją ze sobą.

Przez chwilę zamarli, spleceni ramionami, niezdolni do niczego innego poza delikatnym głaskaniem swoich twarzy. Wreszcie Leon wydobył ją ze stygnącej wody, zawinał w ręcznik i zaniósł do sypialni. Jade kleiły się oczy, kiedy więc Leon sam się wytarł do sucha i wślizgnął do łóżka, wtuliła się w jego ramiona jak dziecko i natychmiast zapadła w głęboki sen.

Światło dnia sączyło się spod nie dosuniętych rolet. Jade obudziła się, otworzyła oczy i naraz uświadomiła sobie, co się wydarzyło. Za sobą słyszała równy, spokojny oddech, a kiedy ostrożnie się odwróciła, zobaczyła, że Leon śpi na wznak w drugim końcu szerokiego łóża.

Usnęli w objęciach, ale w którymś momencie w nocy rozdzielili się, i tak być powinno. Musiała przecież go zostawić. Zostawić na zawsze.

Wczoraj zawarła ze sobą umowę. Powiedziała sobie, że jeśli daruje mu jedną noc, rozstanie będzie łatwiejsze. Dziś jednak, patrząc na jego uśpioną twarz, zrozumiała, że to nieprawda. Jak mogła go opuścić teraz, po tych wspaniałych wspólnych przeżyciach, gdy doznała czułości i doświadczyła miłości, gdy słyszała „kocham cię“?

Nie odejdę, pomyślała, zostanę i będę walczyć. Ależ, Jade, odezwał się jej wewnętrzny głos, zimny i nieczuły, nie taka była umowa. Miałaś go mieć przez noc, a Victoria Alkarta przez pięćdziesiąt lat, prawda?

Tak, ale nie wiedziałam...

Ale dałaś słowo - a poza tym, kiedy już cię posiadał,

zacznie żałować tego nierozważnego kroku. Może nie tak od razu, może ten romans potrwa do końca twojej pracy, ale kiedyś urwie się na pewno, tak jak każdy inny.

Ale on mnie kocha, łkała bezgłośnie, przyciskając pięści do ust.

Może i tak, ale ożeni się z Victorią, bo ona jest Baskijką. Może nawet będzie chciał cię zatrzymać na dłużej. Umieści cię w tej pięknej willi w San Sebastian i będziesz tam pędzić życie, a raczej wegetować w oczekiwaniu na jego wizyty, coraz rzadsze i rzadsze, aż porzuci cię na dobre.

- Nie! - jęknęła Jade w głos i przerażona, że go obudzi, wtuliła twarz w poduszkę. Muszę go mieć wyłącznie dla siebie.

Cóż, to po prostu niemożliwe. No, Jade, gdzie podziała się twoja duma? On nie ma zamiaru ożenić się z tobą, czy będziesz więc leżeć tu i czekać, aż się obudzi i spojrzy na ciebie z poczuciem żalu i winy? Przecież go kochasz, więc nie utrudniaj mu tego.

Tak, ale ty nie wiesz, co to znaczy wstać i odwrócić się od niego na zawsze.

Wiem, jestem przecież częścią ciebie. Zrób to, a najgorsze będzie za tobą.

Dobrze, tylko jeszcze raz spojrzę na niego i dotknę jego warg... życzę ci szczęścia, kochany...

Leon zamruczał coś przez sen, obrócił się i zastygł z szeroko rozpostartymi ramionami. Jade jeszcze przez chwilę patrzyła na niego, a potem cicho wyszła z pokoju.

W parę minut później wymknęła się bocznymi drzwiami, przebiegła przez dziedziniec i niepewnym krokiem ruszyła ścieżką, która omijała wioskę i pro-

wadziła wprost na szosę. Kiedy obejrzała się przez ramię, zamek skrył się już za zakrętem drogi.

Spieszyła przed siebie i nie zastanawiała się, co ma uczynić później. Przepełniała ją bezbrzeżna, straszliwa rozpacz.

scandalous

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Pa, Elaine. Cześć, Dave. To było wspaniałe przyjęcie.

- Czy naprawdę musisz już iść, Jade? - Sympatyczna twarz Elaine posmutniała.

- Tak, jutro wstaję bardzo wcześnie - usprawiedliwiła się pospiesznie. - Jade do Dorset objerzeć ten dom pod Shaftesbury.

- Słuchaj, ty naprawdę pracujesz za...

- Dziękuję wam obojgu. Bawiłam się świetnie - przerwała Jade szybko, czując, że głowa jej pęka.

- Cieszę się ogromnie, że zaręczycie się. - Ucałowała Elaine, a potem kuzyna. - Nie zapominajcie, że w ślubnym prezencie urządzę wam nowe mieszkanie.

- Nie zapomnimy, ale ty, Jade, kochana...

Elaine wzięła ją za rękę z troską w oczach. Jade odruchowo zamknęła się w sobie.

- Naprawdę już na mnie czas. Do zobaczenia.

- Ale nie ustaliliśmy jeszcze, gdzie spędzisz Boże Narodzenie - wtrącił szybko Dave. - Czy lecisz do Nowego Jorku, czy też wolałabyś pojechać z nami do Leicester? Wiesz, że mama i tata byłiby szczęśliwi.

- To miło z ich strony - na jej twarzy, nawet jej zdaniem zbyt smutnej, pojawił się cień uśmiechu - ale... ale jeszcze się nie zdecydowałam. Na litość boską, wracajcie już do gości, bo pomyśla, że uciekliście.

Jade wyglądała przez okno samochodu, który utkwiał w korku ulicznym. Przez zamazaną deszczem szybę widać było przystrojone odświętnie wystawy sklepowe. Boże Narodzenie za pasem, a jej serce pozostawało zimne i nieczułe. Miała nadzieję, że z wiosną poczuje się lepiej i wróci do dawnej formy. Na razie interesy szły doskonale. Jej firma miała coraz więcej zamówień. Czasem trudno było im podołać. Została zaproszona do wygłoszenia odczytu na temat architektury wnętrz, jej projekt zrealizowany na zamówienie jednej z ambasad miał stać się tematem reportażu, a do tego jeszcze ten dom w Dorset... to może być naprawdę poważne wyzwanie... wyzwanie... ktoś to już kiedyś mówił...

„Ręczę pani, że byłoby to prawdziwym wyzwaniem”.

Na to wspomnienie Jade o mały włos się nie rozpląkała, ale opanowała się i pospiesznie otarła łzy, które nawet teraz, po czterech miesiącach, zbyt łatwo napływały jej do oczu. Jak długo jeszcze, pytała samą siebie każdego ranka, będzie rozpamiętywać tamte przeżycia? Dlaczego wtedy uciekła po kryjomu? W ciągu dnia było lepiej. Mogła wtedy pogрузić się bez reszty w pracy. Czy kiedykolwiek skończą się te majaczenia w półśnie, kiedy przeszłość powraca do niej jak wyrzut sumienia?

Tego pamiętnego dnia, gdy opuściła Leona, powtarzała sobie w kółko, że tak będzie lepiej, że tylko w ten sposób może znów doprowadzić do ładu swoje życie. Mimo to jednak przez pierwsze dni jej serce zamierało na każdy odgłos kroków i każdy dzwonek telefonu, dopóki nie zrozumiała, że on nigdy się nie pojawi.

Kiedy parkowała samochód w cichej, zadrzewionej uliczce, deszcz lał już jak z cebra. Nie miała parasola i była ubrana tylko w lekki żakiet - ostatnio była

bardzo roztrzępana - podniosła więc kołnierz i biegiem ruszyła przez jezdnię w stronę domu.

Zauważyłaby go wcześniej, gdyby nie to, że nie mogła znaleźć kluczy. Chciała już wejść na schody, gdy u ich szczytu dostrzegła potężną sylwetkę mężczyzny. Strach ścisnął ją za gardło, wydała więc tylko zduszony dźwięk, który przeszedł w chrapliwy okrzyk, kiedy mężczyzna wstał.

- Leon?

Nie mogła ruszyć się z miejsca. Była jak sparaliżowana. On zszedł powoli ze schodów, nachylił się i podał klucz, który wypadł z jej mokrych palców. Jego twarz pozostawała w cieniu.

- Wejdziemy do środka, czy też wolisz, żebyśmy oboje złapali zapalenie płuc?

- Ja... - Jade wyjąkała i przerwała w pół słowa, a potem, poruszając się sztywno, weszła na schody i poprowadziła go na górę do swego mieszkania.

- Masz mokry płaszcz - przemówiła wreszcie nieswoim głosem. Nie miała siły spojrzeć mu w oczy, zajęła się więc jego przemoczonym okryciem. - Daj mi go.

Wyciągnęła rękę, jak każda uprzejma gospodyni, a potem przysunęła wiktoriański wieszak do kaloryfera i powiesiła na nim płaszcz.

- Straszliwa pogoda. Jak długo czekałeś?

- Trochę - wzruszył ramionami.

- Ale skąd wiedziałeś?

- Państwo Phillips, właściciele domu, którym się zajmowałaś, dali mi twój adres. To było najłatwiejsze.

Podniosła na niego oczy, ale natychmiast spuściła wzrok.

- Ty też jesteś przemoczona - powiedział cicho



i dopiero wtedy Jade zorientowała się, że ściska dłońmi wilgotny kołnierz.

Niechętnie zdjęła żakiet. Poczuła, że uważnie przygląda się jej szczupłej sylwetce w jedwabnej sukience w oliwkowozielone i turkusowe wzory.

- Przepra... to znaczy, bardzo mi przykro, że mnie nie zastałeś. Byłam na przyjęciu zaręczynowym przyjaciółki, Elaine, i Dave'a, mojego kuzyna. Może go pamiętasz?

Ich oczy spotkały się i w pamięci Jade w ułamku sekundy odżyły wspomnienia. Otrząsnęła się i pospiesznie wprowadziła go do saloniku, zapaliła światła i płomień na kominku, a potem posadziła go na kanapie.

Boże, jaki on jest przystojny. Choć jego twarz i postać wracała do niej w każdym niemal śnie, odczuła dojmująco jego bliskość i ten magnetyzm, którym wciąż promieniował.

Otrząsnęła się.

- Może napiłbyś się czegoś?

- Poproszę o kawę.

Wybiegła do kuchni i oparła się o drzwi, starając się odzyskać równowagę ducha. Potem jednak pomyślała, że mógłby przyjść za nią aż tutaj, napełniła więc ekspres i zaczęła ustawiać naczynia na tacy.

Kiedy wróciła do pokoju, okazało się, że zdążył już zdjąć krawat i marynarkę, a nawet rozpiąć koszulę pod szyją. Natychmiast jej zdradziecka pamięć podsunęła mnóstwo wspomnień... Dzień wesela... Leon roześmiany, szalejący w tańcu, patrzący na nią, obejmujący ją...

Postawiła tacę tak gwałtownie, że śmietanka prysnęła z dzbanuszka.

- Skoro już tu jesteś, to może powiesz, o co chodzi? - spytała.

- Zostawiłaś pewne nie załatwione sprawy.

Tym razem rozlała kawę na spodek.

- Jakie sprawy?

- Choćby odnowienie mojego domu.

No tak, oczywiście. Cóż innego mógłby mieć na myśli?

- Myślałam, że do tego czasu zdążyłeś już zamówić kogoś innego.

- Zamek jest w takim stanie, jak wtedy, kiedy... odeszłaś. Pozostał nietknięty i czeka na ciebie.

Była bardzo zdenerwowana, ale opanowała się i odpowiedziała spokojnie:

- No cóż, właściwie to skończyłam wszystkie projekty.

Nie musiał przecież nic wiedzieć o tym wewnętrznym przymusie, który noc po nocy nakazywał jej zasiadać przy biurku i szkicować.

- Oczywiście, musiałam zgromadzić kolejny stos próbek, ale myślę, że udało mi się je dobrać właściwie.

Przeszła sztywno przez pokój do wielkiego biurka pod oknem, otworzyła najniższą szufladę i wyjęła z niej ciężką teczkę.

Kiedy niosła ją z powrotem, rzucił beznamiętnym tonem:

- Ucieszyłem się, kiedy się dowiedziałem, że dotarłaś bezpiecznie do domu.

Teczka wyslizgnęła się jej z rąk, ale pochwycił ją zręcznie, zanim upadła na podłogę.

- Podwieźli mnie...

- Młode małżeństwo z dzieckiem, Francuzi, w żółtym 2CV z rejestracją Bordeaux.

Jade otworzyła szeroko oczy. No naturalnie - żadne

zdarzenie w okolicy nie mogło pozostać tajemnicą dla de Villady.

- W takim razie na pewno wiesz również, że złapałam popołudniowy samolot...

- Oczywiście. Z lotniska Parmę i tego samego dnia byłaś już w domu.

A więc cały czas śledził ją... ale nie dawał znaku życia aż do dzisiaj.

- A zatem, kiedy wracasz?

- Wracasz? - powtórzyła jak echo i opadła na krzesło, bo poczuła, że nogi się pod nią uginają.

- Żeby dokończyć pracę. Powiedziałaś mi kiedyś, że dla ciebie projekty to tylko pierwszy etap.

- Tak, ale...

Jak mógł zaproponować jej coś podobnego? Musiał przecież zdawać sobie sprawę, że ona już nigdy, przenigdy, rnie może tam wrócić. A może nie zdawał sobie z tego sprawy? Sądził, że skoro sam szybko o niej zapomniał, to i ona łatwo mogła wyrzucić go z pamięci.

- Ale?

- Nawet nie spojrzaleś na moje propozycje.

- Jestem pewien, że nie ma potrzeby, chociaż wspomniałaś, że charakter domu powinien odzwierciedlać osobowość jego właściciela. Czy na pewno ci się to udało, Jade?

- W każdym razie starałam się - odparła ostrożnie, pilnując się, aby się nie zdradzić. Opracowując projekty przywoływała cały czas jego postać.

' - Ale przypuśćmy, że w przyszłości się ożenię.

Jej palce zacisnęły się na uszku filizanki. Wpatrywała się nie widzącym wzrokiem w brunatny płyn, czując, jak serce jej zamiera. Jak można być tak okrutnym?

Ale on najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z jej stanu ducha.

- Ostatecznie moja żona nie musi podzielać mego gustu.

- Jestem pewna, że będziesz w stanie przerobić ją na swoją modłę - udało się jej odezwać lekkim tonem. - Bądź co bądź Victoria została wychowana, w posłuchu, prawda?

- Victoria? - Uniósł wysoko czarne brwi. - Mówisz o Victorii Alkarta? A co ona ma wspólnego z urządzeniem zamku?

- No, przecież zamierzasz się z nią ożenić.

- Nie sądzę, żeby Rodrigowi spodobało się to, co powiedziałaś.

- Roddy'emu? A co to ma z nim wspólnego?

- Zareczył się z nią.

- Roddy? - patrzyła na niego w osłupieniu.

- Tak. Parę miesięcy temu wrócił z Buenos Aires, spotkał ją na przejażdżce i - uśmiechnął się - zakochał się od pierwszego wejrzenia.

- Myślisz, że to poważna sprawa?

- Tak sądzę. Mój młodszy brat bardzo wydoroślał przez te kilka miesięcy. Przyznasz chyba, że ona będzie dla niego doskonałą żoną, prawda, Jade?

- Co? - Wciąż jeszcze nie zdołała oswoić się z tymi nowinami. A więc Victoria i Roddy, a nie Victoria i Leon, tak? Ale właściwie, co ją to wszystko obchodzi? Nic a nic, odpowiedziała sobie z złością.

- Powiedziałem, że ona będzie...

- Tak, wyobrażam sobie. Piękna, czarująca, no i Baskijka. Czy można pragnąć czegoś więcej? - skomentowała chłodno, ale w obawie, że mogłaby się czymś zdradzić, szybko zmieniła temat.

- A więc zgodziłeś się... to znaczy, pozwoliłeś mu powrócić do domu? Chociaż dopiero wtedy, kiedy nie stałam już na przeszkodzie - dodała z goryczą.

- Wrócił z własnej woli - przerwał jej Leon ostro - a teraz chciałby, żebyś i ty wróciła.

- A to dlaczego?

- Bo chciałby cię gorąco przeprosić. Podczas pobytu w Buenos Aires miał dosyć czasu, aby przemyśleć to, co uczynił. - W głosie Leona zabrzmiała twarda nuta.

- Przypuszczam, że po raz pierwszy w życiu naprawdę pomyślał o kimś innym i w końcu zrozumiał, jakie skutki mógł pociągnąć za sobą jego nie przemyślany wybryk.

- Och - westchnęła Jade nie unosząc głowy, tak aby nie mógł widzieć jej twarzy.

- Kiedy spytałem go, wyznał mi wszystko. Jedna z pracownic naszego biura w Madrycie, Ana Lopez, otrzymała właśnie skierowanie do Buenos Aires, a tego tygodnia Rodrigo był w niej śmiertelnie zakochany. Był zdecydowany jechać za nią, a ponieważ wiedział, że wyślę go tam, jeśli pojawi się w pobliżu ciebie, wykorzystał nas oboje. Przyjechał, zaczął cię całować, ja trafiłem na to małe przedstawienie i... Buenos Aires.

- Teraz rozumiem - powiedziała powoli. A więc obaj bracia zdradzili ją, choć każdy na swój sposób.

- Nie patrz tak na mnie, Jade.

W jednej chwili Leon zerwał się z kanapy i padł przed nią na kolana. Ujął jej chłodną dłoń i mocno ścisnął, choć usiłowała ją wyrwać. Kiedy spojrzął na nią, pierwszy raz zauważyła głębokie bruzdy wokół ust i oczu.

- I... i jak postąpiłeś?

- Z moim bratem? - Uśmiechnął się niewesoło.

- No cóż, postraszyłem go, że sprawię mu lanie, na które sobie całkowicie zasłużył...

- Och nie! - Chwyliła go za rękę. - Musisz mu wybaczyć.

- Za to, że mnie oszukał, wybaczyłem już dawno, ale za to, co zrobił tobie - nigdy.

- Ale musisz. Przecież nie mógł wiedzieć... o nas.

- Chyba nie. W każdym razie jest bardzo skruszony i chciałby ci to jakoś wynagrodzić, a poza tym - tu przerwał na chwilę - ja również muszę cię przeprosić za moje zachowanie.

Powiedział to z widocznym wysiłkiem. Dla człowieka tak dumnego przyznanie się do winy musiało być bardzo trudne.

- Nie ma potrzeby - powiedziała szybko. - Postępowałaś zgodnie ze swoimi zasadami.

Nachylił się nad jej ręką i ucałował wewnątrz dłoni.

- Najśłodsza - mówił zduszony głosem - chcesz mi ułatwić sytuację, ale dla mnie nie ma usprawiedliwienia. Złe cię oceniałem od samego początku. Rodrigo, choć to go wcale nie tłumaczy, nie wiedział, że ja cię kocham.

Nie powinna była tego w ogóle słuchać.

- Nie, Leonie. - Próbowała wstać, ale on jej nie puszczał. - Wierzę, że kochałeś mnie wtedy, tamtej nocy, ale...

- Kocham cię nadal! - Te pełne uczucia słowa sprawiły, że zamilkła i tylko wpatrywała się w niego.

- Bóg mi świadkiem, że bardzo starałem się przestać cię kochać - ciągnął ponuro. - Próbowałem na nowo uwierzyć we wszystkie kłamstwa o tobie. Wmawiałem sobie, że ucieszyłem się, kiedy odeszłaś, ale to wszystko było na nic. Kochałem cię wtedy i kocham cię nadal.

- I ja cię kocham. - Uśmiechnęła się smutno.  
- Oczywiście wiesz o tym, ale nie możemy być razem, Leonie, musisz to zrozumieć.

Głos jej drżał. Czuła, że mur obojętności, którym próbowała się odgradzić od przeszłości, za chwilę runie.

- Wróc ze mną, Jade.

Przez moment uległa przemożnemu pragnieniu, ale zdołała się opanować.

- Nie, nie wrócę, nie mogę - mówiła przez łyzy.

- Gdybyś miał trochę litości dla mnie, zrozumiałbyś dlaczego. Przebaczyłeś Roddy'emu, ale tylko dlatego, że w końcu ustatkował się i jest ci posłuszny. Żeni się z Baskijką, a przecież o to przede wszystkim chodzi, prawda? To kardynalna zasada, której nie wolno złamać.

- Od zasad są wyjątki. Co o tym myślisz, Jade?  
- spytał cicho.

- Czyżbyś zapomniał o biednej Serafinie? Pamiętasz, ona próbowała je złamać.

- No tak, biedna Serafina - powiedział w zamyśleniu. - A wiesz, po twoim wyjeździe zrobiłem to, do czego mnie zachęcałaś, to znaczy naprawdę po raz pierwszy dokładnie przyjrzałem się jej portretowi. Miałaś rację, z jej oczu wyziera smutek i rezygnacja. Być może, mimo wszystko powinni byli pozwolić jej wyjść za mąż za tego Anglika. Jestem pewien, że zgodzisz się ze mną.

- Może i tak - odrzekła niezobowiązująco.

- W każdym razie jej prapra... prawnuk zamierza poślubić swoją Angielkę. I co ty na to? - Widząc jej okragłe ze zdumienia oczy, uśmiechnął się z wysiłkiem.

- No, proszę, powiedz coś.

- Prosisz mnie o rękę? - z trudem wydobywała słowa ze ściśniętego gardła.

- A o cóż innego? - skrzywił usta. - Nie, nie odpowiadaj.

- Ale... ale przecież Baskowie żenią się tylko z Baskijkami.

- Ale nie ten szczególny Bask. - Jego uśmiech stopił ostatnie lody. - Widzisz, kochanie, ten szczególny Bask doszedł do wniosku, choć bardzo późno, że do końca życia nie zdoła usunąć z serca wspomnienia pewnej angielskiej dziewczyny o kasztanowatych włosach, cudownie zielonych oczach i słodkich ustach, które zostały stworzone do pocałunków - mówiąc to, bardzo delikatnie dotknął ustami jej warg.

Czuła się jak rozbitek, który stracił już wszelką nadzieję, gdy naraz dostrzegł przed sobą bezpieczną przystań. Czy to mogła być prawda?

- Co się z tobą dzieje, kochanie?

- Och, pomyślałam tylko, że to cudowny sen i że w każdej chwili mogę się obudzić - zaśmiała się nerwowo, a potem przytuliła twarz do jego ramienia.

- Proszę cię, Leonie, obejmij mnie.

Później, gdy leżeli senni na kosmatym futrzaku przed kominkiem, dobiegło ich dzwonienie zegara. Jade obróciła się i aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- O Boże, to już druga, a ja miałam wyjechać do Dorset o siódmej. Miałam tam obejrzeć dom na wsi.

- Pojadę z tobą.

- Nudziłbyś się śmiertelnie.

- Z tobą? A poza tym wolałbym mieć pewność, że żaden niegodziwy ziemianin nie porwie cię i nie uwięzi.

- Aby mnie niegodziwie wykorzystać, tak? - spytała poważnie. - Zresztą nie wiem, czy tam pojadę. Nic nie jestem nawet pewna, czy w ogóle podejmę się tej roboty.



- Ale ja nie chciałbym, żebyś przeze mnie rezygnowała z pracy - wtrącił szybko.

- Cóż... - zmarszczyła nos w zamyśleniu - obiecałam Elaine i Dave'owi, że urządzę ich mieszkanie w prezencie ślubnym, ale wydaje mi się, że potem chciałabym poświęcić się już tylko twojemu domowi.

- Swojemu domowi.

- No, dobrze - naszemu domowi. - Spojrzała na niego czule i wstydliwie zarazem, wciąż jednak jedna myśl nie dawała jej spokoju.

- Leonie...

- Słucham?

- Pamiętasz, jak powiedziałeś mi, że chciałbyś mieć dziedzica? No, ale jeżeli ożenisz się ze mną...

- To nieważne - zrozumiał ją w lot. - Pół-Baskowie i pół-Anglicy to najlepsza kombinacja na świecie.

- Och, Leonie - łzy radości napłynęły jej do oczu.

- Kochana moja. - Objął ją i wymruczał coś niezrozumiałego tuż przy jej ustach.

- Co to znaczy? W wolnym przekładzie, oczywiście - uśmiechnęła się do niego figlarnie.

- To znaczy w wolnym przekładzie - odrzekł poważnie - „moja najdroższa, będę cię kochał, póki życia i tchu we mnie, a nawet jeszcze dłużej”.

Fala szczęścia wezbrała w jej sercu.

- Nauczysz mnie to mówić?

- I wiele innych rzeczy. - Wziął jej rękę i począł gorąco całować po kolei palce.

- Przez resztę życia będę cię uczył i kochał. O tak... i tak... i tak...